

Materialy do refleksji



PUBLIKACJA UKAZAŁA SIĘ
W 80. ROCZNICĘ
POWSTANIA
INSTYTUTU LITERACKIEGO
W PARYŻU



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ

Juliusz Mieroszewski

Materiały do refleksji

WPROWADZENIE

Rafał Habielski

INSTYTUT LITERACKI KULTURA

INSTYTUT EUROPY ŚRODKOWEJ

Lublin – Paryż 2026

Spis treści

Materiały do refleksji. Juliusz Mieroszewski 1906–1976–2026	7
Wielka alternatywa	13
Polska – Rosja – Ameryka	25
Tysiąc lat i co dalej?	37
Polsko-francuskie metamorfozy	45
Stare wino w nowych beczkach	63
Polska <i>Westpolitik</i>	77
Materiały do refleksji i zadumy	91
Utracone sprawy – utopie – wizje – gigantomachia – dewolucja	93

Materiały do refleksji. Juliusz Mieroszewski 1906–1976–2026

Juliusz Mieroszewski (1906–1976) rozpoczął współpracę z „Kulturą” w 1949 roku, stając się niebawem jej pierwszym piórem, *porte parole* Redaktora Jerzego Giedroycia¹. Niedługo później zyskał opinię najwybitniejszego pozakrajowego publicysty, której to dystynkcji towarzyszyły wyrazy oburzenia, protesty i polemiki. Z biegiem czasu pojawiły się zarzuty o niekonsekwencję; jeden z adwersarzy Mieroszewskiego, sympatyzujący zresztą z „Kulturą”, przekonywał, że trzeba dysponować rzeczywiście ogromnym talentem, by przeczyć sobie tak sugestywnie.

Wszystkie te oceny, zarówno uzasadnione, jak i niemające wiele wspólnego z rzeczywistością, nie robiły na Mieroszewskim wrażenia, co nie znaczy, że pochlebne opinie przyjmował z obojętnością. Polemiki i uzasadnianie swoich racji nie były żywiołem, w którym czuł się najlepiej. Posłannictwem jego pisarstwa było formułowanie rozwiązań stojących przed Polską wyzwań. Misja „Kultury”, narzędzia uprawianej przez Giedroycia polityki, sprowadzała się do poddawania pomysłów dających szansę zmiany niekorzystnej sytuacji na lepszą, zwracania uwagi na realia, przypominania o związkach między celami a stojącymi do dyspozycji środkami, obrony wartości przed zagrażającą im dekonstrukcją.

Powodem nieporozumień wywoływanych przez Mieroszewskiego bywały nadrzędne właściwości jego pisarstwa. Był zdania, że istotą publicystyki powinno być prowokowanie czytelnika, inspirowanie do wysiłku, zmuszanie do patrzenia „z innej perspektywy”, nakłanianie

¹ Zob. A.S. Kowalczyk, *Wena do polityki. O Giedroyciu i Mieroszewskim*, t. 1–2, Więź, Warszawa 2014.

do porzucenia schematów i sztańc myślowych. Przy założeniu, któremu hołdował wspólnie z Giedroyciem, że zdolności polityczne Polaków zbyt często nie stawały na wysokości zadań, którym miały służyć oraz piętrzących się zagrożeń, Mieroszewski widział wśród swoich obowiązków przymiot edukacyjny. Uważał, że „Kultura” powinna nie tylko formułować zadania pozostające w zasięgu możliwości, ale także podpowiadać, jak zachowywać się w niesprzyjających warunkach. Pamiętać o uzgadnianiu swoich propozycji z rzeczywistością, ale nie zapominać, że realizm musi być wyposażony w pierwiastek etyczny, w innym bowiem wypadku przypominać będzie oportunizm i koniunkturalizm. Modernizować i racjonalizować ideę niepodległości poprzez przekładanie jej na język drugiej połowy XX wieku².

Zadanie, jakie Mieroszewski stawiał przed swoim pisarstwem, strategia, której wierzył, wynikała ze sposobu definiowania emigracji, odpowiedzi na pytanie, czym jest, a czym być powinna. „Kultura”, była dowodem, że sensem jej istnienia było oddziaływanie na kraj. W obszarze usług, które oferowała, leżało, poza poddawaniem pomysłów, zapewnianie kontaktu ze światem zachodnim, tłumaczenie go, czynienie zrozumiałym, oswajanie tego, co mogło wydawać się z sprzeczne z dążeniami do niepodległości.

Trudno jednoznacznie przesądzić charakter poglądów Mieroszewskiego, niezwiązanego nigdy z żadną partią i ruchem politycznym, niepozostającego pod wpływem jakiegokolwiek polityka czy ideologa. Definiujący swoje przekonania jako liberalne, a niekiedy lewicowe, dawał dowody preferowania rozwiązań praktycznych, pozostających w zasięgu możliwości. Czy trzeba było do tego poglądów rozumianych w sensie ideologicznym? Wolno sądzić, że nie, tego zdania był zresztą również Giedroyc (przywiązujący sporą wagę do kwestii taktycznych), wobec czego zabiegi prowadzące do określenia profilu ideowego Mieroszewskiego można zwolnić z konkluzji przybierających kształt kłucza do jego publicystyki. Wypada zwrócić natomiast uwagę, że jego pisarstwo lokuje się poza definiującym polskie myślenie polityczne podziałem na „pozytywizm” i „romantyzm”.

Mieroszewski uważał za niezbędne dostosowywanie narzędzi i metod do okoliczności. Punktem wyjścia formułowanych przezeń diagnoz i propozycji była analiza współczesności. Z jej oceny wynikały pomysły mające zdolność przeistaczania się w projekty działań o różnej, warunkowanej przydatnością, trwałości. Podobnie jak

² J. Mieroszewski, *Refleksje ćwierćwiecza*, „Kultura” 1964, nr 9 (203).

Giedroyc, a może jeszcze bardziej niż on, Mieroszewski był zdania, że trzeba umieć zmieniać stanowiska, zachowując wierność najważniejszemu celom. Prawdopodobnie ta była podstawą ewolucji programu „Kultury”, która od czasu nabrania politycznej tożsamości w początku lat pięćdziesiątych pozwalała sobie na modyfikacje, mogące zaskakiwać czytelników i recenzentów pisma. Występując w roli *porte parole*, Mieroszewski prowadził „Kulturę” od odrzucenia zalecanego przez Melchiora Wańkowicza niezaangażowania³, poprzez poparcie polityki amerykańskiej wobec Moskwy, neutralizm, rekomendacje udzielone Gomułce (1956), wsparcie rewizjonizmu, aż po „rewolucjonizm”, którego nie zdążył w pełni rozwinąć i uzasadnić. Zwroty dokonywane przez „Kulturę”, głównie, choć nie wyłącznie, piórem Mieroszewskiego, aczkolwiek gwałtowne, były przygotowywane i wyjaśniane, niemniej pretensje o brak spójności miały swoje powody. Były jednak bardziej dowodem niezrozumienia powołania pisma, niż znajomości reguł, którym hołdowali jego Redaktor i pierwszy publicysta.

Emigracje przejawiają specyficzny stosunek do czasu. Mieroszewski doskonale zdawał sobie z tego sprawę, zauważając, że w warunkach pozakrajowych świadomość kształtuje nie byt, tylko przeszłość, a tradycja staje się współczesnością⁴. Przy takim założeniu trudno formułować projekty polityczne dające szansę powodzenia. O przeszłości nie wolno zapominać, może być inspiracją, nie może być jednak drogowskazem. Przywdziewanie kostiumów historycznych, zabieg uzasadniany podobieństwem celów, to jest dążeniem do odzyskania niepodległości, nie mogło zdaniem Mieroszewskiego przynieść dobrych rezultatów. Motywowane przeszłością doktryny i orientacje geopolityczne, niemające szans na praktyczne zastosowanie, były w istocie dowodem bezradności. Mistyfikacją działania politycznego, wyrazem niezadawnionego sentymentu i nostalgii. Właściwości te, pod wpływem obserwacji czynionych w polskim Londynie, gdzie legat historyczny stanowił integralny element opowieści o współczesności i marzeń o przyszłości, będąc sprawcą i nieodłącznym towarzyszem resentymentów, nabierały w pisarstwie Mieroszewskiego wymiaru przestrogi.

Świadomość reorientacji postaw wymuszonych przez drugą wojnę światową spowodowała, że Mieroszewski wraz z Giedroyciem z najwyższą niechęcią odnosili się do traktowania przeszłości jako skarbnicy postaw. W ułożonym na nowo świecie przeszłość polityczna nie

³ M. Wańkowicz, *Klub Trzeciego Miejsca*, Instytut Literacki, Paryż 1949.

⁴ J. Mieroszewski, *Refleksje Ćwierćwiecza*, „Kultura” 1965, nr 9 (203).

mogła być przedmiotem restytucji, historia zaś pełnić roli magazynu rozwiązań politycznych. Mogła być wyłącznie doświadczeniem, o którym nie wolno zapominać, mierząc się ze współczesnością. Pomagać w osiągnięciu stawianych sobie zadań, czyli tworzeniu warunków, w których dawne zagrożenia stracą rację bytu.

Dowodem tego polityka wschodnia, z którą Giedroyc bezskutecznie usiłował dać sobie radę przed wojną. Sednem geopolitycznego stanowiska „Kultury”, wykładanego przez Mieroszewskiego, było przekonanie, że w interesie Polski leży niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi (program ULB), za co ceną było pogodzenie się z utratą Kresów. Z perspektywy czasu koncept ten, unieśmiertelniony przez Mieroszewskiego, tchnie oczywistością, ale wówczas gdy „Kultura” dowodziła jego niezbędności, spotykał się na ogół z protestami. Emigracja, w dużym stopniu związana z Ziemią Wschodnią, widziała w programie ULB unieważnienie powodów, jakie skłaniały do pozostawania na obczyźnie, w kraju natomiast przyjmowany był z wymuszoną rezerwą wynikającą z narzucanego przez reżim przekonania, że Polska nie graniczy z Ukrainą, Litwą i Białorusią, tylko ze Związkiem Sowieckim.

Projekt wschodni „Kultury” zakładał konieczność ułożenia stosunków z Rosją, przy założeniu nieuchronności rozpadu imperium sowieckiego, problem polegał jednak na dojmującym braku partnerów dialogu. Sytuacja ta uległa zmianie u kresu życia Mieroszewskiego (będącego zdania, że Rosji nikt nie zna, istnieją jedynie różne stopnie ignorancji w tej dziedzinie), kiedy to zespół „Kontynentu”, czasopisma nowej, demokratycznie zorientowanej emigracji rosyjskiej, uznał stanowisko „Kultury” w sprawie suwerenności Polski oraz Ukrainy za swoje.

Wolno to uznać za zrządzenie łaskawego losu, potwierdzającego doniosłość programu „Kultury”. Pisma, które pozwalając sobie na formułowanie stanowisk wymiaru rangi stanu, reprezentowało samo siebie, kilkuosobowy zespół z dominującą rolą Mieroszewskiego, formułującego jego wizje, nadzieje i oczekiwania.

Pierwszeństwo, jakie pisarstwu Mieroszewskiego dawał w „Kulturze” Giedroyc, nie było wyłącznie funkcją wagi zajmowanych przezeń stanowisk, sumiennie przedyskutowanych w korespondencji mającej cechy bezterminowego dialogu⁵. Redaktor cenił nośność jego

⁵ J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz.1–2, wybór i wstęp K. Pomian, oprac. J. Krawczyk, K. Pomian, Czytelnik, Warszawa, 1999; J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1957–1975*, cz.1–3, wybór, wstęp i oprac. R. Habielski, Czytelnik, Warszawa 2016.

przekonań, ich oryginalność i niezależność, odwagę w wybieganiu w przyszłość bez obawy popełnienia błędu, profetyczną intuicję, odporność na uleganie presji opinii. Miał poczucie znaczenia jego publicystyki w „Kulturze”, czego świadectwem korespondencja z ostatniego okresu życia Mieroszewskiego, odchodzącego w czasie, w którym formułowane przezeń idee przeistaczały się w stan realny, a „Kultura” bez niego stawała się jakby bezbronna wobec zjawisk, do których przyłożyła rękę.

Oprócz ładunku politycznego i skali tematycznej Giedroyc darzył respektem właściwości formalne pisarstwa Mieroszewskiego, „sposób wystawiania się”, „zwięzłość i oszczędność”, brak ozdób stylistycznych traktowanych jako zbędny sztafaż⁶. Nie mając innego wyjścia, godził się z faktem, że Mieroszewski nie chciał, względnie nie potrafił, wyjść poza formułę tekstu odpowiadającego parametrom miesięcznika, pozostając głuchy na zachęty do zebrania swoich przemyśleń w książce. Rekompensatę stanowiły edycje zbiorów jego tekstów drukowanych w „Kulturze”⁷.

* * *

Po 1989 roku pisarstwo Mieroszewskiego prezentowane było w wyborach, uwzględniających najważniejsze z zajmujących go zagadnień⁸. Wybór niniejszy, nie tylko ze względu na swój szczupły rozmiar, nie rości sobie prawa do reprezentatywności. W 50-lecie śmierci Mieroszewskiego jest przypomnieniem właściwości jego publicystyki, która niezmiennie, choć z innych już powodów, nie rezygnując z upominania się o przydatność, wymaga wysiłku w dotarciu do rządzących nią praw.

Rafał Habielski

⁶ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i postowiem opatrzył K. Pomian, Czytelnik, Warszawa 1992, s. 207.

⁷ Zob. J. Mieroszewski, *Ewolucjonizm*, Instytut Literacki, Paryż 1964; tenże, *Polityczne neurozy*, Instytut Literacki, Paryż 1967; tenże, *Modele i praktyka*, Instytut Literacki, Paryż 1970; tenże, *Materiały do refleksji i zadumy*, Instytut Literacki, Paryż 1976.

⁸ J. Mieroszewski, *Finał klasycznej Europy*, wybór i wstęp R. Habielski, UMCS, Lublin 1997; tenże, *Listy z Wyspy. ABC polityki „Kultury”*, wybór i wstęp R. Habielski, Instytut Literacki Kultura-Institut Książki, Paryż-Kraków 2012; tenże, *Kroniki angielskie i fragmenty autobiograficzne*, wybór, opracowanie i wstęp R. Habielski, A.S. Kowalczyk, Instytut Literacki Kultura-Institut Książki, Paryż-Kraków 2020.

Wielka alternatywa

Zainteresowanie, jakie wśród Polaków wywołał „Wielki Plan” de Gaulle’a – jest zrozumiałe. Interesuje nas każdy plan zachodni, który przewiduje – choćby w dalszej przyszłości – odmrożenie status quo w Europie Środkowo-Wschodniej.

Wybitnym zwolennikiem i znawcą „orientacji francuskiej” na emigracji jest Aleksander Kawałkowski, którego artykuł w „Kulturze” pt. *Alternatywa* stał się publicystycznym sukcesem w skali międzynarodowej.

Jak Kawałkowski odczytuje ową drugą i dalszą część „wielkiego zamyśłu” de Gaulle’a? Według tej interpretacji de Gaulle uważa, że istnieje, względnie powstanie w przyszłości – możliwość poddania rewizji układu terytorialnego odziedziczonego po ostatniej wojnie. Oczywiście ten, kto ów projekt rewizji wysunie, będzie musiał dysponować zarówno siłą, jak i gotowością poniesienia pewnych ofiar. Rosja wolałaby w Europie nie sąsiadować bezpośrednio z militarnymi siłami Ameryki. W rezultacie za cenę rozwiązania Paktu Atlantycznego i wyjścia Amerykanów z Europy – Rosja może zgodzi się na wypuszczenie spod kontroli państw satelickich, które w jej bilansie są pozycją niepewną i kłopotliwą. Rosja zgodzi się na takie rozwiązanie tylko wówczas, gdy będzie miała pewność, że przyszła Europa nie będzie antyrosyjska. Tylko zamiana przewodnictwa amerykańskiego na francuskie może Rosjanom dać tę pewność. Zjednoczone Niemcy muszą być oddzielone od Rosji formacją państw, które dziś stanowią obszar satelicki. Restauracja wpływów francuskich w tym rejonie Europy przypieczętuje dominującą pozycję Paryża na kontynencie – co w konsekwencji zapobiegnie niebezpieczeństwu hegemonii niemieckiej.

Można jeszcze dodać w tym miejscu, że za kilka lat oba supermocarstwa będą dysponowały dostatecznym potencjałem nuklearnym umożliwiającym wysadzenie w powietrze naszej planety. Wówczas

bazy na terytorium państw obcych staną się zbędne. W takiej sytuacji Pakt Atlantycki i Pakt Warszawski stracą swój pierwotny sens i znaczenie.

Gen. Shoup, członek kolegium szefów sztabu, w czasie posiedzenia komisji budżetowej Kongresu wyraził opinię, że powszechna wojna atomowa przyniosłaby zagładę białej rasy. Straty wyniosłyby od 700 do 800 milionów zabitych. Zachowałyby się rezerwy w Australii i w Nowej Zelandii. Rasy kolorowe objęłyby glob, a era białego człowieka przeszłaby do historii.

Waszyngton i Moskwa z każdym rokiem będą bardziej zainteresowane w utrzymaniu status quo, ponieważ każda zmiana status quo może uruchomić kataklizm atomowy, odmalowany barwnie przez gen. Shoupa. W takiej sytuacji status quo staje się nie tylko fundamentem pokoju i przetrwania białej rasy, lecz zyskuje również najwyższą sankcję moralną wszystkich kościołów na kuli ziemskiej.

Rozwój po tych liniach prowadzi nieuchronnie do zamrożenia wszystkich granic. Na Zachodzie utrwała się przekonanie, że Moskwa, w przeciwieństwie do Pekinu, gotowa jest zrezygnować z mitu rewolucji światowej w imię pokoju i nienaruszalności status quo.

Łatwo sobie wyobrazić, że w takich warunkach za kilka lat gen. de Gaulle może mieć większe możliwości manewru politycznego niż prezydent Kennedy. Moskwa i Waszyngton są unieruchomione w atomowym *deadlock* i drżą przed każdą poważniejszą inicjatywą, bo każda poważniejsza inicjatywa może naruszyć status quo na korzyść przeciwnika.

Lecz jeżeli nawet założymy, że gen. de Gaulle będzie miał możliwości wysunięcia propozycji dotyczącej Europy Środkowo-Wschodniej – trudno sobie wyobrazić, jak ów plan mógłby być w praktyce zrealizowany.

Chciałbym zaznaczyć z naciskiem, że nie polemizuję z Al. Kawałkowskim. Jestem entuzjastą jego interpretacji, ale przy maksymalnym wysiłku wyobraźni nie jestem w stanie dojrzeć owego planu w realnych kształtach.

Podstawowy błąd w cytowanym rozumowaniu polega na tym, że zakładamy, iż Rosja jest już dziś ideologicznie i rewolucyjnie wygasłym wulkanem. De Gaulle – według tej interpretacji – przyjmuje, że Rosja jest de facto przemysłowym imperium, które w przyszłości zachowa się podobnie jak wszystkie inne wielkie przemysłowe mocarstwa.

Rosja jest zwyczajnym przemysłowym mocarstwem i nie jest zwyczajnym przemysłowym mocarstwem. Rosja jest zwyczajnym

imperialistycznym mocarstwem, dopóki idzie naprzód, lecz natychmiast przestałaby być zwyczajnym mocarstwem, gdyby zaczęła się cofać.

Anglia bez utraty twarzy mogła zlikwidować swoje imperium, Francja bez uszczerbku dla swego prestiżu mogła wycofać się z Algierii. Lecz Chruszczow ilekroć porusza problem niemiecki – podkreśla z naciskiem, że Rosja nigdy nie dopuści do upadku „socjalizmu” w NRD.

Rewolucyjna ideologia jest znakomitym paliwem maszyny imperialistycznej, lecz maszyna ta posiada kardynalną wadę: nie ma biegu wstecznego.

Gdyby Rosja była zwyczajnym mocarstwem imperialistycznym, mogłaby się wycofać z Europy Środkowo-Wschodniej bez groźnych konsekwencji. Mogłaby ułożyć swoje stosunki z państwami satelickimi w nowej płaszczyźnie ku obopólnej korzyści.

Lecz Związek Sowiecki nie ma tych możliwości. Gdyby z krajów satelickich utworzyć pas państw neutralnych – rządy komunistyczne upadłyby w tym rejonie w przeciągu tygodnia. To, co dla nas jest powrotem do demokracji – dla Moskwy jest triumfem kontrrewolucji.

Sowiety, wycofując się z Europy Wschodniej, straciłyby coś niepomrotnie więcej, niż utracili Anglicy, wycofując się z Indii. W takiej sytuacji Związek Sowiecki poniósłby klęskę ideologiczno-polityczną, z której prawdopodobnie nigdy by się nie podniósł. Interweniując w Budapeszcie, Rosjanie nie walczyli ani o Budapeszt, ani o Węgry. Sowiety i bez Węgier byłyby drugim mocarstwem świata. Na ulicach Budapesztu Rosjanie walczyli o własną skórę – o pozycję Moskwy w świecie komunistycznym.

Poświęcając reżym Ulbrichta, Moskwa ułatwiłaby sobie grę z Niemcami. Jednak poderwałaby równocześnie swą pozycję w świecie komunistycznym. Nie można wyłączyć, że Chiny skorzystałyby z takiej okazji, by rzucić kłótnię na przywódców sowieckich. Doprowadziłoby to do rozłamu i to do rozłamu z winy Moskwy. Wyrównanie stosunków z Niemcami – choć ważne i istotne – nie przechyliłoby szali. Saldo operacji byłoby katastrofalnie ujemne.

W tym całym problemie nie chodzi o utratę terytorium. Rosja cierpi na nadmiar terytorium, a nie jego brak. Ideologię komunistyczną jako agresywną i rewolucyjną łatwo jest pogodzić ze zdobywczym imperializmem, lecz trudno dopasować ją do pokojowej koegzystencji, a jeszcze trudniej byłoby pogodzić ją z odwrotem. Ideologia rewolucyjna przypomina przysłowiowe „napoleońskie bagnety”. Można z nią robić wszystko, tylko nie można na niej usiąść. Dylemat Rosji polega na tym, że gotowa byłaby „usiąść” na rewolucji, gdyby to było możliwe.

Rosja chciałaby z jednej strony być zwyczajnym przemysłowym mocarstwem z bogactwem dóbr konsumpcyjnych na wzór Ameryki – z drugiej zaś strony chciałaby zatrzymać i umocnić swój status supermocarstwa, który zawdzięcza historycznemu faktowi, że jest stolicą światowego, wojującego komunizmu. To są dwie tendencje nie do pogodzenia. „Rewizjonizm” Chruszczowa piętnowany przez Pekin zmierza do zabrukowania tych sprzeczności.

Rosja znajduje się na rozdrożu i będzie musiała wybrać: albo dalsze „uzwyczajnianie” swojego modelu społeczno-gospodarczego i rezygnację z mitu rewolucji światowej, albo – jeśli zechce odzyskać prymat w świecie komunistycznym – będzie musiała stać się bardziej pekińska niż Pekin. Dylemat z rosyjskiego punktu widzenia jest olbrzymi i dramatyczny. Związek Sowiecki bardzo wolno, lecz jednak stale ewoluuje ku modelowi „normalnego” wielkoprzemysłowego społeczeństwa. Gdyby Rosja była Polską, a więc państwem bez imperium satelickiego i bez problemów mniejszościowych – być może odwilż postępowałaby nad Nową szybciej niż w innych krajach komunistycznych. Lecz Rosja Sowiecka jest krajem, który zamieszkuje 109 narodowości, a jej satelickie imperium sięga po berlińską Bramę Brandenburską.

Dla Polaków komunizm jest tylko ustrojem, lecz dla Rosjan jest jeszcze „ideą jagiellońską”. Upadek idei oznaczałby nie tylko liberalizację, lecz również rozbitcie Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik i upadek imperium satelickiego. Nie ma narodu na świecie, który musiałby zapłacić tak wysoką cenę za wolność, jak Rosjanie.

Komunizm w perspektywie Moskwy spełnia dwie naczelne funkcje. Dopóki Związek Sowiecki jest w możności utrzymywać jedność obozu państw „socjalistycznych” i temu obozowi przywozić – dopóty Rosja sowiecka jest drugim supermocarstwem świata. Komunizm umożliwia równocześnie „federacyjne” ujarzmianie 109 narodów oraz spełnia rolę fundamentu imperium satelickiego.

Czytelnik zapyta może w tym miejscu: co to wszystko ma wspólnego z interpretacją planów de Gaulle’a? Bardzo wiele. Dopóki Rosja sowiecka jest Rosją sowiecką model z roku 1963 – wszystkie plany dotyczące reorganizacji Europy Środkowo-Wschodniej wiszą w powietrzu. Nasi pradziadowie modlili się o wielką wojnę ludów. My nie chcemy wielkiej wojny ludów, więc o co mamy się modlić?

* * *

Dwóch uczonych z Nuffield College w Oksfordzie – P. Nettle i D. Schapiro – wystąpiło na łamach „The Observer” (21.4.1963) z projektem

„Alternatywy” dla Wielkiej Brytanii. Przeprowadziwszy nieubłaganą krytykę polityki obecnego rządu, autorzy cytowanego artykułu wysunęli tezę, że kluczem do europejskiego sezamu są Niemcy. Należy uznać granicę na Odrze i Nysie, należy uznać rząd Ulbrichta i zaoferować wycofanie wojsk brytyjskich z Berlina i z Niemiec Zachodnich. Zaoferować komu? Oczywiście wszystko to należy zaoferować Rosji sowieckiej. Tego rodzaju oferta stanowiłaby pierwszy wyłom w zachodniej linii Maginota, a w konsekwencji przesądziłaby prawdopodobnie los Berlina. Autorzy wniosku (nie bez racji), że Rosja byłaby gotowa za ustępstwa tej miary zapłacić poważną ceną. Ową ceną byłby specjalny układ handlowy sowiecko-brytyjski, który wyrównałby Anglii straty spowodowane niedopuszczeniem do wspólnego rynku. Eksport do Sowietów zapewniłby pełne zatrudnienie i rozrost produkcji przemysłowej, co wzmogłoby zdolność konkurencyjną towarów brytyjskich i na innych rynkach.

Co należałoby w takiej sytuacji powiedzieć Niemcom Zachodnim? Autorzy „Alternatywy” i na to mają odpowiedź. Rządowi w Bonn oświadczone by, że Anglia nie zamierza angażować swojej dyplomacji, pieniędzy i sił zbrojnych do obrony specyficznej konstelacji państw europejskich, której to „konstelacji” Wielka Brytania nie jest członkiem.

Autorzy „Alternatywy” uważają, że gdyby z tego typu polityką wystąpił rząd socjalistyczny – byłoby to poczytane za przejaw słabości. Jeżeli natomiast z takimi planami wystąpi rząd konserwatywny, przyjmą to wszyscy za tradycyjną brytyjską „Realpolitik”.

Możemy pocieszyć się i powtórzyć za R. Roverem, że w świecie anglosaskim „ci, którzy mają plany, nie rządzą, a ci, co rządzą, nie mają planów”. To jest jedna z przyczyn, dla której de Gaulle „działa na nerwy” Anglosasom – ponieważ ma zarówno plany, jak i władzę.

NATO można zlikwidować dwojako. Zjednoczona Europa za kilka lat, w wyniku twardych negocjacji, może zgodzić się na rozwiązanie NATO w zamian za rozwiązanie Paktu Warszawskiego i wycofanie się Rosji z państw satelickich. NATO można również wysprzedać indywidualnie za specjalne układy handlowe z Rosją i inne korzyści wynegocjowane w rozmowach dwustronnych. Ten typ rozwodnienia NATO stanowiłby stuprocentowe zwycięstwo sowieckie.

Nie ulega wątpliwości, że tylko zjednoczona i uporządkowana Europa Zachodnia, ciesząca się pełnym poparciem Stanów Zjednoczonych – miałaby szanse podjęcia negocjacji z Sowietami na warunkach zapewniających powodzenie. Tego ideału nie osiągniemy może nigdy, a państwa kontynentu oraz Wielka Brytania szukać będą korzystnej akomodacji indywidualnej z blokiem wschodnim.

Wydźmy jednak z najbardziej optymistycznego założenia, przyjmując, że za kilka lat zjednoczona Europa, przewyciężwszy wszystkie kryzysy, stanie się potęgą zarówno w sensie gospodarczym, jak i militarnym.

Wracamy do punktu wyjścia tych rozważań. Gdyby dziś Europa Zachodnia stanowiła wzór zjednoczenia, solidarności i siły – jakie byłyby realne szanse wyzwolenia narodów satelickich środkami pokojowymi? W moim przekonaniu szanse byłyby minimalne.

Co stanowi sprawdzian wyzwolenia? Sprawdzeniu wyzwolenia nie stanowią ani sojusze (czy odwrócenie sojuszów) ani status neutralny. Jedynym autentycznym sprawdzianem restauracji prawa samostanowienia są wolne, powszechne, demokratyczne wybory.

Rosja Sowiecka – model 1963 – nie mogłaby się zgodzić na układ umożliwiający przeprowadzenie wolnych, demokratycznych wyborów w państwach satelickich. Samobójstwo nie może być przedmiotem negocjacji. Do samobójstwa można tylko zmusić siłą i wówczas przyjąć można za pewnik, że ten, od którego żądamy samobójstwa, walczyć będzie o życie do upadłego.

Proponując swego czasu koncepcję „pasa neutralnego”, nigdy nie mieliśmy na myśli wyzwolenia. Byliśmy natomiast przekonani, że status neutralny przyczyniłby się do wybitnej poprawy sytuacji w państwach satelickich oraz ułatwiłby ewolucję w pożądanym kierunku.

Rosja Sowiecka nie mogłaby się zgodzić na przeprowadzenie wolnych wyborów w krajach satelickich, ponieważ upadek rządów komunistycznych w Polsce, w Czechosłowacji, w Niemczech Wschodnich, w Rumunii, na Węgrzech – nie tylko doprowadziłby do rozłamu w światowym ruchu komunistycznym, lecz prawdopodobnie spowodowałby również przewrót w samej Rosji. Dziś nie może być powrotu do koncepcji „socjalizmu w jednym państwie”. Poza tym nie ma Stalina, Berii i potężnej armii NKWD. Klęska komunizmu byłaby tak oczywista, a kontrrewolucja w krajach satelickich przybrałaby charakter tak żywiołowy, że uchronienie Rosji przed tym cyklonem nie byłoby możliwe.

Logicznie rzecz biorąc, konflikt pomiędzy Wschodem i Zachodem jest konfliktem antagonistycznym. W epoce przedatomowej konflikty tego typu i tej skali rozgrywano w drodze wojennej. Dramat naszej epoki polega na tym, że choć wojna stała się anachronizmem – konflikty antagonistyczne są bardziej żywe niż kiedykolwiek w przeszłości. Odrzuciliśmy wojnę, lecz nie wypracowaliśmy żadnej alternatywy. Powtarzamy frazes o „wyzwoleniu środkami pokojowymi”. Co to znaczy? Gdy Chruszczow mówi o skomunizowaniu państw Zachodu w drodze pokojowej poprzez wybory parlamentarne – jest wówczas takim

samym „realistą” jak my, gdy deklamujemy o wyzwoleniu pokojowym. Moskwa nie ma również alternatywy wojny i nie wypracowała instrumentu politycznego, który by wojnę zastąpił. Różnica pomiędzy nami polega jednak na tym, że Rosja sowiecka przez następne stulecie może być drugim mocarstwem świata bez skomunizowania mocarstw Zachodu – my natomiast nie możemy czekać na wyzwolenie stu lat.

Brakiem alternatywy nie kłopotczą się państwa zadowolone ze status quo. Alternatywa potrzebna jest nie Rosji sowieckiej, tylko nam.

Chruszczow nie ma możliwości zbudowania polityki alternatywnej w stosunku do Zachodu. Jeżeli komunizm nie zostanie podwieszony na czołgach do zachodniego Berlina, Brukseli i Paryża – flaga z sierpem i młotem nigdy nie załopocze nad Europą Zachodnią. Chruszczow nie może wypracować metody skomunizowania świata zachodniego „środkami pokojowymi”, ponieważ ludzie Zachodu w swojej masie nie chcą komunizmu. Komunizm można by im tylko narzucić siłą. Jeżeli rezygnuje się z siły – rezygnuje się tym samym z komunizmu.

Obiektywnie należy stwierdzić, że jesteśmy w lepszej sytuacji od Chruszczowa. Jeżeli bowiem mówimy o „środkach pokojowych”, możemy powołać się na niezbity fakt, że 80% ludzi w Europie Wschodniej pragnie wolności i restauracji prawa samostanowienia.

Gdyby Chruszczow był w sytuacji analogicznej do naszej – to znaczy gdyby mógł liczyć, jeśli nawet nie na masowe, to w każdym razie na poważne poparcie ludności w krajach zachodnioeuropejskich – z całą pewnością wypracowałby metody skomunizowania świata zachodniego „środkami pokojowymi”.

Trzeba postawić wreszcie pytanie zasadnicze: czy wyzwolenie „środkami pokojowymi” jest rzeczą możliwą?

Wyzwolenie środkami pokojowymi jest do pomyślenia tylko jako proces stopniowy, ewolucyjny, obliczony na lata. Pomoc z zewnątrz jest konieczna i niezbędna. Lecz pomoc z zewnątrz ograniczona do środków pokojowych nie zapewni nam restauracji prawa samostanowienia ani nie zapewni nam rządu demokratycznie wybranego. W ramach negocjacji pokojowych Rosja Sowiecka – model 1963 – nigdy nie zgodzi się na tego typu postulaty z przyczyn, które starałem się przeanalizować w pierwszej części tego artykułu.

Inicjatywy mocarstw zachodnich, czy plan de Gaulle’a, mogą stworzyć korzystniejsze warunki dla „samowyzwolenia się” – mogą stworzyć klimat ułatwiający ewolucję ku pewnym formom demokracji. Lecz czy wykorzystamy tę koniunkturę, zależeć będzie wyłącznie od nas samych. Jeżeli odrzucamy wyzwolenie środkami wojennymi – zrezygnować musimy z idei „Mesjasza”, który kiedyś wyzwoli nas i przywróci

nam wolność. Możemy tylko oczekiwać połowicznych rozwiązań, które ułatwią naszą sytuację.

Problem jest przeraźliwie jasny. Rosję Sowiecką trzeba albo pobić, albo zeuropeizować. Dopóki Rosja sowiecka jest Rosją sowiecką model 1963 – to znaczy nie jest ani pobita, ani zeuropeizowana – nie pomoże nam ani de Gaulle, ani Kennedy, ani nikt i nic.

Bez popadania w *wishful thinking* możemy przyjąć, że kryzysowa sytuacja w Rosji będzie się pogłębiać. Wpływ Zachodu na Rosję rośnie. Ów wpływ można by wzmocnić wielokrotnie, gdyby Zachód pojmował koegzystencję ofensywnie. Mimo że losy świata w znacznym stopniu determinowane są sytuacją w Rosji – nikomu nic nie zależy na tym, co się tam dzieje. Model społeczno-gospodarczy Rosji i Stanów Zjednoczonych jest sprawą nas wszystkich – bo od ewolucji tych modeli wszystko zależy.

Celem zachodniej polityki nie może być, jak dotąd, zachowanie ideologicznego status quo, lecz przeciwnie – przyspieszenie ewolucji komunizmu szczegółowo przemyślaną taktyką. Tej sprawie w ubiegłym roku poświęciłem odrębny artykuł, który w skróconej formie ukazał się również w języku angielskim. Tutaj chciałbym tylko jeszcze raz podkreślić, że rezygnowanie z ofensywy ideologicznej w imię polityki „niedrażnienia” Moskwy nic prowadzi donikąd. Bo naszym, zachodnim, długofalowym celem politycznym nie są dobre stosunki z Rosją, model 1963 – lecz liberalizacja tego modelu. Z Rosją Sowiecką, model 1963 – nie można mieć dobrych stosunków. Celem naszym jest zmusić Rosję do odwrotu i do przemiany. Wszystko winno być podporządkowane tym kardynalnym założeniom.

Polityka pokojowej alternatywy wymagałaby również radykalnego przedstawienia całej naszej tradycyjnej „metodologii narodowej”. Odwaga cywilna, walka cywilna – to nie są polskie specjalności. Ten sam Polak, który na barykadach warszawskich dokonywał cudów bohaterstwa – na zebraniu da się zakrzyczeć małemu aparaczkowi i nie zdobędzie się na odważne wypowiedzenie swego zdania.

Poeci, pisarze, uczeni, profesorowie, nauczyciele – w okupowanym przez hitlerowców kraju zdobywali się codziennie na heroizm, ponieważ w gruncie rzeczy uważali się za żołnierzy i groziła im śmierć. Autorzy artykułów w prasie podziemnej, poeci piszący wiersze, profesorowie wykładający na zakonspirowanych kursach – to nie byli bohaterzy cywilnej odwagi. To byli tradycyjni polscy żołnierze.

Ci sami ludzie w przytłaczającym procencie zawiedli jako bojownicy cywilni. Nie mamy tradycji walki cywilnej, nie mamy kadr bojowników

cywilnych – mamy natomiast długoletnią tradycję lojalizmu i oportunistycznej prorządowości.

Gandhi – twórca strategii „cywilnego nieposłuszeństwa” – w Polsce nie zdziałałby niczego. U nas łatwiej jest o Westerplatte niż o dwóch ludzi, którzy zaryzykowałiby więzienie i niełaskę za odważny artykuł.

Skłonnny jestem przypuszczać, że w tej chwili w Anglii siedzi w więzieniu więcej inteligentów niż w Polsce. Mam na myśli manifestantów atomowego rozbrojenia. Nie podzielam przekonań tych ludzi – ale musi budzić szacunek człowiek, który za swe przekonania gotów jest pójść do więzienia. Katastrofą nie jest więzienie za przekonania. Katastrofą jest brak przekonań.

W niczym nie jesteśmy tak wschodni jak w stosunku do władzy i do policji. Leży przede mną bieżący numer „Nowej Kultury”. Gdyby nie nagłówek z czerwoną flagą i hasło: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” – można by sądzić, że to biesiada zachodnich koneserów. Melchior Wańkowicz – o Steinbecku; Ludwik Hieronim Morstin – o Antygonie; Paweł Hertz – o Prouście; Cat-Mackiewicz o chrześcijaństwie i pokoju.

Lecz władcą tego salonu literackiego jest aparatczyk, który w Anglii, nawet komunistycznej, byłby małym urzędniczyzną na prowincjonalnej poczcie. I to jest Wschód. Intelktualiści polscy pokornie dają się rządzić półinteligentom partyjnym, którzy stanowią 80% kierowniczego aparatu. Ci panowie w każdym kraju zachodnim, bez względu na ustrój, byłiby traktowani jako półinteligenci i tkwiliby na półinteligencjskich posadach. A w Polsce są władzą – którą się wyśmiewa, o której opowiada się po kawiarniach setki pogardliwych dowcipów i której potulnie się słucha. I to jest nagi Wschód, którego nie przyśloni ani tomy o Prouście, ani rozprawy o Steinbecku.

Cat-Mackiewicz w cytowanym wyżej numerze „Nowej Kultury” (nr 681) pisze dosłownie: „Mur (Ulbrichta) jest także murem ochronnym i dla Polski”.

Odbyliśmy dość daleką drogę od Polski „przedmurza chrześcijaństwa” do „przedmurza” muru Ulbrichta.

Uogólnienia są krzywdzące i nieobiektywne. Niewątpliwie są wspomniane wyjątki. Lecz niestety bardzo znaczny procent intelektualistów tego pokolenia nie tylko poszedł na kompromisy, lecz gotów jest pójść na każdy kompromis. Catowi nikt nie kazał pisać bredni o murze Ulbrichta. On to zrobił z własnej pilności – tak jak z własnej pilności, za panią matką Chruszczowem, potępił pospiesznie muzykę jazzową, o której nie ma pojęcia.

Od tych panów nie możemy oczekiwać cywilnych „Budapesztów”. Do końca będą kuć dowcipy i prześcigać się w usługach. Większość tych ludzi ma za sobą nieprawdopodobną ilość „przeobrażeń”: od BBWR po PZPR, od katolicyzmu po ateizm, od emigracyjnego „legalizmu” po „reżym” ludowy, od Andersa po Gomułkę – tak, że już chyba dawno zatracić musieli poczucie jakiegokolwiek własnej tożsamości.

* * *

Tezą tego artykułu jest pogląd, że koegzystencja – taka, jak się ją pojmuje na Zachodzie – nie jest ową alternatywą, której poszukujemy. Powinniśmy zrezygnować z wojny, lecz nie wolno nam zrezygnować ze zwycięstwa. Konflikty antagonistyczne nie kończą się nigdy wynikiem remisowym. Ktoś w tym konflikcie zwycięża, a ktoś przegrywa.

Koegzystencji winniśmy nadać formę polityki ideologicznie ofensywnej – zmierzającej długofalowo nie do upokorzenia i zagrożenia Rosji, lecz do jej przebudowy. Chruszczow jest przerażony wpływami zachodnimi, zwłaszcza na młode pokolenie. Siła atrakcyjna kultury zachodniej jest olbrzymia. W tej materii trudno przesadzić: trzeba tylko pieniędzy, odpowiednich ludzi i zorganizowanej polityki – by ową kulturę forsować poprzez żelazną kurtynę. Zawodowi politycy nie zdają sobie sprawy, ile można by zdziałać ofensywną, kulturalną, umiejętnie podjętą akcją. Zachód powinien nie zdwoić, lecz potroić wysiłki zmierzające do wyrwania Rosji z kulturalnej izolacji. Powinniśmy sobie stale uświadamiać, że nie ma dosłownie człowieka w wolnym świecie, w którego bezpośrednim interesie nie leżałoby „zeuropeizowanie” Rosji. Przebudowa modelu Rosji Sowieckiej jest bowiem sprawą, która zadecyduje o międzynarodowym obliczu naszego globu.

Żałujemy, że Zachód uaktywni swoje stanowisko wobec Sowietów. Przyjmijmy również, że w ramach bieżącej dekady zjednoczona Europa, korzystająca z pełnego poparcia Ameryki, wystąpi z inicjatywą wydobywania krajów satelickich spod bezpośredniego władania Moskwy. Zakładając nawet tak optymistyczny rozwój wydarzeń – stwierdzić należy, że główny ciężar operacji „wyzwolenia” spadnie na nas. My musimy wypracować politykę alternatywną i zdobywać wolność ewolucyjnie, krok po kroku.

Rosja narzuciła wschodni komunizm zachodnim Słowianom, Polakom i Czechosłowakom. Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy mogą przy sprzyjającej koniunkturze politycznej powoli, bez prowokacji, „zeuropeizować” swoje modele ustrojowe, które oddziaływać będą na Rosję. Moskwa pogodziła się z modelem jugosłowiańskim

i w nowym układzie pogodziłaby się również z nowymi modelami państw wschodnioeuropejskich. Tylko na tej powolnej drodze ewolucyjnej byłoby możliwe doprowadzić z czasem Moskwę do uznania zasady nie tylko policentryzmu, ale i reprezentacji w przybliżeniu demokratycznej. Rosja musiałaby ośwoić się z myślą, że rząd polski czy czesko-słowacki – złożony tak z komunistów, jak i z przedstawicieli innych kierunków politycznych – nie oznacza kontrrewolucji i wrogości w stosunku do Moskwy.

Polacy średniego i starszego pokolenia zarówno w kraju, jak i za granicą – z nielicznymi wyjątkami – hołdują jednej z dwóch tradycyjnych koncepcji. Pierwsi – by użyć słów bardzo znanej emigracyjnej osobistości – widzą rozwiązanie w „zawierusze wojennej”, drudzy nawrócili do lojalizmu. „Wojna ludów” i walka wyzwolenicza – „praca organiczna” i lojalizm – oto dwie tradycyjne postawy dziś anachroniczne i nieprzydatne.

Jest bardzo trudno „wyskoczyć” z własnej epoki – wyrwać się z więzów tradycyjnego myślenia – zdradzić historyczny nurt pokolenia, do którego się należy. Dlatego nie łudźmy się i nie oczekujmy od starszego pokolenia wypracowania programu alternatywnego. Polityka niepodległościowa oficjalnych politycznych ośrodków emigracyjnych zawisła między absurdem a pobożnym życzeniem. Pano- wie ci z jednej strony odzégnują się od wojny – tzn. od wyzwolenia siłą poprzez totalną klęskę reżymów komunistycznych, z drugiej zaś strony odzégnują się od ewolucjonizmu, piętnując go mianem „ugodowości”. Co więc w ich interpretacji oznacza „wyzwolenie środkami pokojowymi”? Na to pytanie nie podejmuję się odpowiedzieć.

Młode pokolenie zarówno w Rosji, jak i w Polsce – nieobciążone garbem koszarnej przeszłości – wyrwie z czasem „myśl z obcęgów”, jeśli wolno zacytować określenie Cata-Mackiewicza z poprzedniego wcielenia. Istotą programu alternatywnego musi być świadomość, że walka cywilna, cywilny opór, cywilna manifestacja – mogą być skuteczniejsze na dalszą metę niż zbrojne powstanie. W kraju znalazłoby się dziesiątki tysięcy ludzi, którzy byłiby gotowi jutro... strzelać do Moskali. Gdyby z tych ludzi tylko 25% gotowych było dla wolnościowych przekonań zaryzykować posadę, czy miesiąc więzienia – model Polski współczesnej wyglądałby zupełnie inaczej. Polityka programu alternatywnego rozwinie się po tych liniach. Pokolenie zgangrenowane oportunistycznym wymrze, a wśród młodego pokolenia wykrystalizuje się nowa hierarchia wartości. By to się stało, musi stopniowo wzrosnąć procent ludzi o zdecydowanych przekonaniach demokratycznych, którzy dojrzą, że kultura zachodnia w Europie jest

jedna i niepodzielna. I albo się ma u siebie w kraju zachodnią kulturę, albo nie ma się żadnej kultury. Europejczyk w Europie nie może się czuć wolny poza ramami kultury zachodniej. Kultury zachodniej nie można uprawiać w eskapistycznej pustelni – ponieważ zachodnia kultura nie jest intelektualną religią, tylko stylem życia. Wolność definiowana poza ramami tej kultury nie jest wolnością ani w polskim, ani w europejskim tego słowa znaczeniu.

[„Kultura” 1963, nr 6/188]

Polska – Rosja – Ameryka

...Polecono nam przywieźć do Moskwy na Święta Październikowe delegacje pisarzy polskich. Cieszyłem się, że będziemy mieli sposobność przyjąć ich tak samo jak oni przyjęli nas. Pojechała z nami słynna pisarka Nałkowska (miała przeszło 60 lat), Kruczkowski, który był podówczas ministrem oświaty i młody poeta Dobrowolski. Do Brześcia jechaliśmy w specjalnym wagonie z wszelkimi honorami, w Brześciu natomiast nikt nas nie oczekiwał. Sprawa wyglądała katastrofalnie: w biurze „Inturist” odmówiono kategorycznie sprzedania biletów na kredyt dla gości, rubli radzieckich oczywiście nie mieliśmy. Nałkowska, widząc stojący na peronie pociąg radziecki – powiedziała, że jest zmęczona i chciałaby się położyć. Odpowiedziałem, że jeszcze nie wolno wsiadać. (Pech chciał, że w tej samej chwili wsiadł do wagonu generał, adiutant dźwigał walizy).

Powyższy epizod przepisuję z pamiętników Ilji Erenburga. W Brześciu nie było nikogo – nikt o niczym nie wiedział, zawstydzony Erenburg pożyczyl od sekretarza okręgowego prywatnie trochę rubli i zakupił bilety. Na kolację już jednak nie starczyło.

Pointa tego epizodu jest wielce pouczająca. Stary cynik Erenburg, mrugając znacząco w stronę czytelnika, pisze:

„Po roku, kiedy się zaprzyjaźniłem z Dobrowolskim, opowiedziałem mu, co wówczas przeżyłem. Śmiał się długo i powiedział: »ależ to czysto polska historia«”.

„Teraz – kończy swą opowieść Erenburg – nic nas już nie oddziela od Polaków”.

Istotnie nic. Ten sam wschodni, nieopisany bałagan, ta sama drewniana bezmyślna biurokracja, ta sama niewiarygodna pogarda dla zdrowego rozsądku.

Polska jest kluczem Rosji do Europy. Odcięta od Polski – Rosja staje się mocarstwem azjatyckim. Lecz przytoczony powyżej epizod – choć

błahy i zabawny – symbolizuje pewien proces. To nie my europeizujemy Rosję – tylko Rosja azjatykuje nas. Różnice, które nas dzieliły – istotnie znikają, lecz dzieje się to na warunkach rosyjskich.

Niniejszą analizę chciałbym rozpocząć od kilku ogólnych stwierdzeń.

Walkę z Rosją o przywództwo w Europie Wschodniej przegraliśmy całkowicie. Za ostatni rozpaczliwy historyczny akt wywodzący się z tej tradycji uznać należy powstanie warszawskie, które politycznie – choć nie militarnie – zwrócone było przeciwko Rosji. Związek Sowiecki wyeliminował wszystkich zaborców i jest dziś naszym zaborcą-monopolistą.

Na wielu polach w ostatnich latach pięćdziesięciu Rosja dokonała zdumiewającego postępu i dziś nikt już nie wyprze jej z Europy. *Rolling back policy*, „wyzwolenie” – to wszystko okazało się frazesami bez pokrycia.

Rosji nie tylko nie należy wypierać z Europy – lecz przeciwnie, trzeba ją z Europą łączyć, by ją móc zeuropeizować. Polska dzięki swej kluczowej, „pomostowej”, pozycji posiada wielkie możliwości w tej materii – lecz jest to gigantyczne zadanie, okazuje się, że przekraczające nasze możliwości.

Jeżeli przyjąć, że Polska jest kluczem Rosji do Europy – to w konsekwencji należy stwierdzić, że stosunek Rosji do nas jest w znacznej mierze funkcją jej nastawienia do Europy. W takim razie – jeżeli powyższe rozumowanie jest słuszne – podstawowego znaczenia nabiera odpowiedź na pytanie: jaki jest de facto stosunek Rosji do Europy na dziś i na jutro?

Rosji niewątpliwie najlepiej odpowiadałby podział Europy na strefy rosyjską i amerykańską. W Moskwie nie tracą nadziei, że z czasem powiedzie się uzyskać od Amerykanów finalną zgodę na przypieczętowanie systemu jałtańskiego. Jeżeli wyłączyć Berlin – to pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi nie ma punktów spornych na terenie Europy.

Gdyby Europa Zachodnia była w równej mierze satelicka jak Europa Wschodnia – nic nie stałoby na przeszkodzie, by urzeczywistnić owe wzniosłe sowieckie marzenia. Lecz Europa Zachodnia nie jest satelicka i z każdym rokiem staje się coraz bardziej samodzielna. Najpełniej ilustruje ów proces Francja, która ponownie staje się wielkim europejskim mocarstwem.

Satelizacja Europy Zachodniej przez Amerykę leżałaby niewątpliwie w sowieckim interesie, ponieważ układ tego typu gwarantowałby poprawne funkcjonowanie systemu jałtańskiego. Z drugiej jednak strony całkowite podporządkowanie Europy

Zachodniej Waszyngtonowi wzmocniłoby niezmiernie Stany Zjednoczone – przeciwnika nr 1 Moskwy.

Stosunek Moskwy do Waszyngtonu i vice versa jest w pewnym sensie zjawiskiem bez precedensu w politycznej historii świata. Te dwie superpotęgi są bowiem równocześnie wrogami i partnerami. Prezydent Johnson koresponduje z premierem Chruszczowem prywatnie i regularnie. Zarówno Moskwa, jak i Waszyngton są przeciwnikami poszerzania klubu atomowego. W tej sprawie występują jako partnerzy dyktatoratu atomowego, który rządzi światem (do czasu).

Siła atomowa Francji uszczupla wyłączną do niedawna władzę dwóch dyrektorów monopolu atomowego. Poza tym Francja, operując swoją pozamonopolową, niezależną siłą atomową – może wciągnąć do wojny przeciwko Rosji Stany Zjednoczone nawet wbrew woli Waszyngtonu.

Jeżeli jednak ten sam problem rozpatrywać będziemy nie z punktu widzenia partnera, lecz wroga – to wypadnie stwierdzić, że uniezależnienie się Francji w pewnym stopniu osłabia pozycję Stanów Zjednoczonych, wroga nr 1 Moskwy.

W owej dwoistości nie ma niczego tajemniczego czy złowrogiego. Pokój świata zależy wyłącznie od Waszyngtonu i Moskwy (do czasu). Obie superpotęgi nie pragną wojny – ponieważ tak Rosja, jak i Ameryka na wojnie mogą tylko stracić. W dziedzinie utrzymania zarówno pokoju, jak i potencjałów atomowych wyłącznie w swych rękach, Moskwa i Waszyngton pomimo wzajemnej nieufności – działają jako partnerzy. W dziedzinie ideologii, wpływów, „małych wojen” – występują jako wrogowie.

Dwoistość tego stosunku powoduje, że nie każde osłabienie Stanów Zjednoczonych leży w bezpośrednim interesie Moskwy. I odwrotnie: nie każde osłabienie Sowietów leży w bezpośrednim interesie Stanów Zjednoczonych (Chiny!).

Wyemancypowana Europa z własnymi siłami atomowymi – kierowana hegemonicznie przez oś Paryż–Bonn – może częściej i wydatniej spędzać sen z powiek przywódcom na Kremlu niż Europa zarządzana przez prokonsulów amerykańskich.

Jak zaznaczyłem, dwubiegunowy system światowy jest zjawiskiem bez analogii i bez precedensu. Nie można go obiektywnie nazwać ani Pax Americana, ani Pax Sovietica. Ów system stanowi dowód (jeżeli dowody komuś są potrzebne), że proces historyczny składa się z łańcucha zjawisk jednorazowych i niepowtarzalnych, w konsekwencji nie może być mowy o prawidłowościach czy żelaznych „prawach” rozwoju historycznego.

System „wielkiej dwójki” niezmiennie odpowiadał Sowietom. Dramat Moskwy polega jednak na tym, że nim ów system zdołała w pełni ulegalizować – rozpoczął się rozkład. Zwrócił na ów fakt uwagę również amerykański autor Roberto Ducci.

Podstawę systemu dwubiegunowego stanowią bloki państw, które uznają przywództwo hegemonów: Zachód przywództwo Ameryki, „blok państw socjalistycznych” – przywództwo Związku Sowieckiego.

W obu blokach działają siły odśrodkowe. Blok zachodni nigdy nie był monolitem, wskutek tego prezydent de Gaulle nie spełnia identycznej roli na Zachodzie, jak Mao na Wschodzie. Blok wschodni był jednak monolitem i Mao nie tylko rozbił ten blok, lecz podważył fundament światowego systemu dwubiegunowego, systemu, z którym Moskwa łączyła wszystkie swoje nadzieje.

Dopiero na tym tle można przeanalizować stosunek Moskwy do Europy. Dopóki funkcjonuje pewnie i sprawnie system dwubiegunowy – Europa nie jest problemem. Wystarczy wówczas wszystko negocjować z Waszyngtonem bez potrzeby oglądania się na Paryż czy Bonn. Jeżeli jednak Europa zaczyna się usamodzielniać, a blok komunistyczny rozpadać – mīt o dwóch dyrektorach zarządzających światem trzeba pożegnać i wypracować inny typ polityki.

Należy podkreślić jeszcze jeden punkt. Waszyngton i Moskwa są swego rodzaju partnerami w akcjach zmierzających do utrzymania pokoju. Co stanowi gwarancję pokoju? Gwarancję pokoju stanowi zabezpieczenie status quo. Z chwilą kiedy system dwubiegunowy przestanie działać – utrzymanie status quo będzie niepomrotnie trudniejsze, niż jest dzisiaj. W tym sensie Mao, jako jeden z burzycieli systemu dwubiegunowego, jest politykiem antyjałtańskim.

Burzyciele systemu dwubiegunowego czasami podcinają (pozornie) gałąź, na której wiszą. Wydawać by się mogło, że prezydent de Gaulle winien być zagorzałym jałtańczykiem i entuzjastą hegemonów, którzy ten system gwarantują. Dopóki trwa system jałtański, Niemcy są podzielone i bez broni atomowych. Ten układ z kolei zapewnia przewagę Francji na kontynencie. Jeżeli skończy się Jałta – skończy się i podział Niemiec, a wówczas pozycja Francji ulegnie wybitnemu pogorszeniu.

W moim przekonaniu prezydent de Gaulle nie wierzy w trwałość systemu dwubiegunowego, a tym samym nie wierzy w trwałość układu jałtańskiego. Zgadzam się z interpretacją prof. Z. Brzezińskiego, że „Europa po Ural” – pomyślana jest jako przeciwwaga zjednoczonych Niemiec.

Mimo że Adżubej w czasie swojej wizyty w Paryżu, w połowie kwietnia, wypowiedział wiele komplementów pod adresem prezydenta

de Gaulle'a – Rosjanie, mając do wyboru, z całą pewnością woleliby Europę „atlantycką” niż francusko-niemiecką. Anglosasi – jak wiadomo – nie są zainteresowani w rewizji status quo.

Realizację zamysłu prezydenta de Gaulle'a, a więc zjednoczenie całej Europy – można by osiągnąć tylko poprzez europeizację Rosji. W moim przekonaniu zadanie europeizacji Rosji przekracza możliwości nie tylko Francji, lecz całej Europy. Przywrócić Rosję Europie mogłaby tylko Ameryka i tylko Ameryka mogłaby uśmierzyć obawy Rosjan w stosunku do Niemiec. Innymi słowy, wielki zamysł de Gaulle'a mógłby być urzeczywistniony tylko poprzez Europę, która byłaby równocześnie de Gaulle'owska i atlantycka.

W prasie anglosaskiej, a w szczególności w prasie angielskiej, czytamy o pogłębiającym się „odprężeniu”, „ociepleniu” itp. Owe „ocieplenia” i „odprężenia” polegają na tym, że Rosja uwikłana w spór z Chinami – nie uważa za stosowne reżyserować nowego kryzysu w Berlinie czy na Kubie. Sowiety są obecnie w stosunku do Zachodu mniej agresywne, ponieważ nie mogą sobie pozwolić na inną politykę. Tak jak obecny pokój nie jest Pax Americana – tak i obecnie odprężenie nie jest dziełem polityki amerykańskiej.

Gdyby system dwubiegunowy, którego symbolem jest słynna linia telefoniczna łącząca Kreml z Białym Domem, dał się utrzymać, wówczas Amerykanie mogliby argumentować, że obrali politykę najmniej ryzykowną i najmniej kłopotliwą. Lecz epoka systemu dwubiegunowego dobiega kresu i w najbliższym czasie Ameryka będzie potrzebowała potężnych sojuszników w nowym policentrycznym układzie międzynarodowym.

Waszyngton w pewnej mierze winien zaadoptować francuski punkt widzenia na Europę – ponieważ Europa to przede wszystkim Francja i Niemcy, a nie Anglia. Owo zbliżenie do francuskiego punktu widzenia leży w bezpośrednim interesie Ameryki i w dalszej perspektywie przesądzi o wartości sojuszu: Europa – Stany Zjednoczone. Europę można mieć za sojusznika tylko kontynentalnych warunkach – nigdy na warunkach brytyjskich.

Komunizm jako doktryna polityczna całkowicie zawiódł. W bloku państw komunistycznych obserwujemy daleko więcej konfliktów i sprzeczności niż w świecie kapitalistycznym. Prof. Brzeziński w artykule opublikowanym w bieżącym zeszycie „Foreign Affairs” przytacza ewolucję poglądów sowieckich na proces scalania się Europy Zachodniej. Marksisci sowieccy wikłali się w sprzecznościach, a analiza ich wypowiedzi stanowi świetną ilustrację nieudolności marksizmu-leninizmu w interpretowaniu nowoczesnego świata.

Komunizm rozpadł się na trzy frakcje: prosowiecką, prochińską i centrową. Centrowcy oficjalnie są zwolennikami negocjacji i jedności – w praktyce natomiast często na tej drodze szukają większego stopnia niezależności (niestety nie dotyczy to Gomułki). Rozpadowi monolitu komunistycznego towarzyszy gwałtowny wzrost nacjonalizmu.

Zaznaczyłem powyżej, że Rosji nie można wyłączyć z Europy. Rosja jest państwem europejskim i rozwiązanie jej problemów musi iść po liniach europejskich.

Co należy rozumieć przez europeizację Rosji?

W najogólniejszym znaczeniu europeizacja musi oznaczać uśmieszenie historycznego kompleksu lęku. Rosjanie boją się Niemców, a Niemcy, zwłaszcza zjednoczone, to trzon Europy. Pas państw satelickich był pomyślany jako głębokie przedpole chroniące rdzenną Rosję przed wrogą Europą.

Punkt drugi wiąże się logicznie z punktem poprzednim. Europeizacja musi oznaczać dekolonizację Związku Sowieckiego. Wszystkie mocarstwa europejskie są zdekolonizowane i Rosja jako członek Europy nie mogłaby w tej zasadniczej sprawie stanowić wyjątku. Imperium satelickie spełniające rolę wału ochronnego nie byłoby już Rosji potrzebne, ponieważ ze strony Europy nie zagrażałoby jej żadne niebezpieczeństwo.

Rosjanie nie boją się Amerykanów i dziś są już absolutnie pewni, że ze strony Ameryki nie grozi im niespodziewany atak atomowy. Ich historyczny kompleks lęku dotyczy wyłącznie (poza Chinami) Europy, ściślej mówiąc – Niemiec. Ów kompleks dzielą wszystkie narody wschodniej Europy.

Europejczycy zachodni nie są w możności rozładować tego kompleksu, bo przeszłość świadczy przeciwko nim. Trzecia Rzesza opłatała całą Europę i bez pomocy z zewnątrz nie byłoby wyzwolenia. Ów kompleks rozładować mogą tylko Amerykanie – bo tylko ich gwarancja i czynne zaangażowanie w polityce europejskiej zapewnić mogą bezpieczeństwo od strony Niemiec.

Amerykanie winni sobie zdać sprawę z kardynalnego faktu, że nie można odbudować jedności całej Europy poprzez Niemcy. Hasło: „Deutschlands Freiheit – Europas Zukunft” jest najniebezpieczniejszą z wszystkich recept politycznych. Realizacja tego hasła oznaczałaby zdeklasowanie Francji – hegemonię Niemiec, a w dalszych konsekwencjach albo Rapallo, albo piętrzący się kryzys pomiędzy Rosją a dominowaną przez Niemcy Europą.

Istnieje ścisły związek przyczynowy pomiędzy pasem państw satelickich a niebezpieczeństwem niemieckim. Jest rzeczą wręcz

niewiarygodną, że w oświadczeniu podsekretarza stanu Averella Harrimana z 10 marca br. dotyczącym polityki Stanów Zjednoczonych wobec wschodniej Europy – nie ma słowa o Niemcach.

Likwidację imperium satelickiego musiałoby poprzedzić spacyfikowanie Niemiec. Nawet Amerykanie nie mogą domagać się rozwiązania szowinistycznych związków ziomkowskich czy instytucji w rodzaju „Goettinger Arbeitskreis”, Amerykanie mogą natomiast złożyć oświadczenie, że w przyszłym układzie pokojowym z Niemcami uznają za ostateczną granicę na Odrze i Nysie, a pretensje „prawne” Niemiec do granic z 1937 roku – uważają za bezpodstawne.

Decyzja trudna, bardzo trudna. Lecz jaka jest alternatywa?

Milczące popieranie roszczeń niemieckich, choćby w realizm tych roszczeń nikt nie wierzył, zarówno w Bonn, jak i Waszyngtonie – wyłącza politykę odbudowy jedności Europy i wyrównania stosunków z Rosją. Opierając się na Niemczech, Amerykanie umacniają i utrwalają żelazną kurtynę i z każdym rokiem ich wpływ w Europie będą maleć. Będą maleć również w Niemczech, ponieważ sojusz z Ameryką w jego obecnej formie żywi fałszywe nadzieje.

Polityka obecna – nazwijmy ją polityką status quo – nie tylko nie ma celu, lecz nie może mieć celu. Nie można bowiem uznać za cel przedłużania status quo, które z każdym dniem staje się większym przeżytkiem. Amerykanie, z jednej strony nie odcinając się kategorycznie od roszczeń niemieckich, podtrzymują pośrednio napięcie i nieufność w Europie Wschodniej – z drugiej zaś strony wydają miliony na aparat oddziaływania, informacji i propagandy.

Jeszcze raz należy podkreślić, że polityka status quo w Europie opierała się w całości na systemie dwubiegunowym. Rosja pragnie ratować ów system za wszelką cenę, gdyż żaden inny system nie zagwarantuje Sowietom ich satelickiego imperium.

Lecz Amerykanie nie mają najmniejszego interesu w ratowaniu tego systemu, ponieważ Stany Zjednoczone nie opierają się na satelitach, lecz na sojusznikach. Zbliżamy się do punktu, w którym system międzynarodowy ulegnie reorganizacji. W tym nowym okresie Ameryka będzie potrzebowała sojuszników i to nie tylko Niemiec czy Anglii, lecz całej zjednoczonej Europy. By to się ziściło, Amerykanie w Europie muszą być bardziej europejscy – to znaczy muszą swą potęgą popierać nie Anglików, nie Niemców, lecz Europę.

Dalekofalowa amerykańska polityka europejska winna zmierzać do odbudowy jedności całej Europy, przez co należy rozumieć: a) spacyfikowanie Niemiec, b) likwidację sowieckiego imperium satelickiego, c) europeizację Rosji.

W stosunku do Niemiec należy przyjąć zasadę: zjednoczone Niemcy w zjednoczonej Europie – podzielone Niemcy w podzielonej Europie. Zjednoczone Niemcy w podzielonej Europie, tzn. w Europie kończącej się na linii Odry i Nysy – wróżyłyby nieuchronną katastrofę.

Przez rozładowanie wschodnioeuropejskiego i rosyjskiego historycznego kompleksu lęku w stosunku do Niemiec należy rozumieć: a) uznanie za nienaruszalną granicę na Odrze i Nysie – oraz b) powtórna, ściślej sprecyzowaną gwarancję, że Niemcy nie przekształcą się w tej czy w innej formie w potęgę atomową.

W dniu, w którym powyższe postulaty zostałyby spełnione – sto milionów ludzi w Europie Wschodniej odetchnęłoby z ulgą i pomyślało: „to nie Sowiety, tylko potężne Stany Zjednoczone chronią nas przed Niemcami”. W jednym dniu zmieniłby się psychiczny klimat w całym bloku wschodnim. W wojnie ideologicznej Ameryka uzyskałaby bezkompromisowe poparcie milionów ludzi. Wówczas, lecz tylko wówczas pieniądze wydawane na aparaty oddziaływania na Europę Wschodnią – uznać by należało za jedną z najbardziej celowych inwestycji polityki amerykańskiej.

Stosunek do Rosji w krajach wschodnioeuropejskich nabrałby nowych cech. Z chwilą gdy Sowiety przestałyby być jedynym gwarantem terytorialnej nienaruszalności – doszłyby do głosu tłumione od lat uczucia narodowe. Status satelicki stałby się anachronizmem sprzecznym z rzeczywistością. Satelitą jest państwo, które może istnieć tylko w ramach protektoratu swego hegemonu. Z chwilą gdy niebezpieczeństwo rewizjonizmu niemieckiego zostałoby usunięte – rosyjska protekcja byłaby zbędna.

Nie twierdzę, że realizacja omawianych postulatów spowodowałaby przewrót i kontrrewolucję. Twierdzę natomiast, że rządzące w krajach satelickich partie komunistyczne, utraciwszy platformę frontu antyniemieckiego – musiałyby drogą koncesji szukać poparcia społeczeństwa. Przede wszystkim narody satelickie w nowej sytuacji domagałyby się większej niż dotychczas państwowej niezależności. Status satelicki w zmienionych warunkach stałby się po prostu nie do utrzymania.

Nikt nie rezygnuje z imperium, jeżeli nie jest do tego zmuszony. Dopóki historyczny kompleks lęku przed Niemcami nie zostanie

rozładowany, mówienie o „wyzwoleniu” jest nonsensem. W Europie Wschodniej musi się stworzyć warunki, które imperializm sowiecki pozbawiłyby treści.

Kraje satelickie mogłyby zatrzymać (w pierwszej fazie) obecny ustrój – mogłyby ściśle współpracować z Sowietami na polu gospodarczym – lecz odebranie Moskwie monopolu protektorki terytorium i granic uruchomiłoby ewolucję ku liberalizacji na wewnątrz i ku niezależności na zewnątrz.

Gdyby wizja straszaka niemieckiego zniknęła z widowni – Rosji byłoby trudno opierać się żądaniom narodów satelickich. Równocześnie wzrosłyby w całej Europie Wschodniej wpływy Zachodu i pragnienie bliższych stosunków gospodarczych i kulturalnych z Europą. Po kilku latach ewolucji po tych liniach sytuacja dojrzałaby do wysunięcia w formie jak najbardziej pokojowej – programu dekolonizacji imperium sowieckiego.

Jeżeli mamy wrócić kiedyś do cywilizowanych warunków i uporać się z zagadnieniami rasowymi i narodowościowymi – prawo do samostanowienia musi obowiązywać nie tylko w Afryce, lecz również w Europie i na całym świecie. Przed tym problemem nie ma ucieczki. Jeżeli idąc za radą pewnych anglosaskich polityków, postanowimy ów problem przesunąć na barki następnych pokoleń – winniśmy sobie zadać pytanie: czy będą następne pokolenia?

Wysunięcie dziś postulatu przeprowadzenia wolnych wyborów w krajach satelickich byłoby nierealną bufonadą. Lecz gdyby postulaty, o których mówiliśmy, zostały spełnione – po kilku latach doczekalibyśmy się sytuacji, która w pełni usprawiedliwiałaby wysunięcie takiego żądania. Bo jeżeli jest już „i” – nikt się nie dziwi, jeżeli się chce postawić nad nim kropkę. Wówczas Rosji należałoby równocześnie zaproponować pakt nieagresji pomiędzy NATO a państwami Paktu Warszawskiego – względnie jakąkolwiek inną gwarancję, która chroniłaby ją przed Niemcami.

Amerykanom może się wydawać, że niemieckie niebezpieczeństwo jest nierealne. Lecz w tym wypadku mamy do czynienia z głęboko zakorzenionym kompleksem historycznym. Kompleks dla pacjenta jest rzeczą arcyrealną, bez względu na to co myślą na ten temat ludzie postronni.

Dla Rosji nie ma odwrotu z Europy. Dekolonizacja imperium satelickiego choćby szła powoli i stopniowo – wywarłaby decydujący wpływ na rozwój sytuacji wewnątrz Związku Sowieckiego. Polacy złożiliby dowód wielkiej niedojrzałości politycznej, gdyby w zmienionych

warunkach manifestowali nienawiść do Rosji. Opóźniłoby to bowiem proces europeizacji Rosji o pokolenia.

W miarę narastania konfliktu z Chinami Rosja będzie dążyć do odprężenia z Europą. Dla Rosji Europa to są Niemcy. Byłoby niepowetowanym błędem dopuścić do zawsze groźnego zbliżenia rosyjsko-niemieckiego – zamiast wykorzystać koniunkturę w celu zbliżenia Rosji nie do Niemiec, lecz do całej zjednoczonej Europy.

Nie domagamy się od Ameryki niczego rewolucyjnego, tym mniej absurdalnego. W moim przekonaniu Stany Zjednoczone z czasem uznają granicę na Odrze i Nysie, jak również nie dopuszczają do atomowego uzbrojenia Niemiec. Lecz w polityce cała mądrość taktyczna sprowadza się do wyboru momentu. Uznanie tej granicy dziś byłoby posunięciem prorosyjskim i równocześnie aktywnie antykomunistycznym. Posunięcie to zwiększałoby bezpieczeństwo Związku Sowieckiego, jednocześnie jednak usuwałoby fundament spod imperium satelickiego. Jeżeli kierownicy polityki amerykańskiej przeoczą ów taktyczny moment – kiedyś i tak uznają granice na Odrze i Nysie, z tą tylko różnicą, że nie odniosą z tego najmniejszej korzyści. Uznają tę granicę, bo nonsensem jest dziesiątkami lat nie uznawać faktu, którego nie można zmienić.

Chciałbym ten artykuł zakończyć uwagą ogólną. Antykomunizm staje się na Zachodzie domeną reakcjonistów, szowinistów i zawodowych aparaczków. Intelktualiści, pisarze, inteligenci – ze zrozumiałych powodów – stronią od tego typu towarzystwa. Nie tylko komunizm dotknięty jest kryzysem. Kryzysem dotknięty jest również antykomunizm. Zbliżamy się powoli, lecz nieuchronnie do momentu, kiedy tzw. wojnę ideologiczną prowadzić będą po obu stronach wyłącznie zawodowi aparaczczycy przy wzrastającej obojętności społeczeństw.

Sprawa jest zbyt wielka, zbyt istotna – by można ją było w całości powierzyć zawodowym aparaczkom.

Dogmatyczni komuniści wierzą w skomunizowanie świata. Dogmatyczni antykomuniści wierzą, że komunizm zostanie zmieciony z powierzchni ziemi siłą.

Zachodni pisarz czy intelektualista, który nie wierzy ani w dogmaty, ani w „święte wojny” – rozkłada bezradnie ręce i mówi: „cóż my możemy zrobić?”.

Antykomunizm nie może być ideologią – musi natomiast być polityką. W tej chwili nie jest ani ideologią, ani polityką, lecz wyłącznie propagandą, za którą nie kryje się żaden program działania.

Stany Zjednoczone są władne stworzyć warunki polityczne, które kraje satelickie pchnęłyby na drogę niezależności. Wówczas ferment

intelektualny, który jest dziś brutalnie dławiony, wydobyłby się na powierzchnię. Rozpocząłby się proces przekształcania Europy Wschodniej, a w dalszych konsekwencjach i Związku Sowieckiego.

Antykomunizm musi być albo dalekofalową polityką zmierzającą do konkretnego celu, albo będzie niczym.

Zwolennicy polityki status quo i bierności liczą na samowyczerpanie się, na erozję „zimnej wojny”. Lecz ów proces gra *both ways*. Na Zachodzie wyraża się brakiem wizji, zamieraniem wielkich spraw, usychaniem wielkich planów, wyobcowaniem z problematyki, której nikt za nas nie rozwiąże. Więc lepiej nie mówić o erozji.

[„Kultura” 1964, nr 6/200]

Tysiąc lat i co dalej?

Z mojego wstępu do książki pt. *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* wyjmuję następujący fragment:

Tysiącletni bilans polityczny Polski jest ujemny i nie daje powodów do radości. Po dziesięciu wiekach znaleźliśmy się w punkcie wyjściowym. Utraciliśmy wszystko, co można było utracić. Z Rzeczypospolitej „obojga narodów”, z „idei jagiellońskiej”, z misji „przedmurza” – nie pozostało ani śladu, ani popiołu. Ponieśliśmy nie tylko olbrzymie straty terytorialne. Zagubiliśmy również historyczny sens państwowości polskiej. Naszych potężnych sąsiadów nie umieliśmy ani pobić, ani ułożyć z nimi poprawnych stosunków. Jesteśmy dziś buforowym państwem w systemie sowieckim, chroniącym Rosję od ściany Zachodu. Ktoś powie, że to wszystko nie jest naszą winą. Polityka nie rejestruje win i zasług, tylko straty i zyski, zwycięstwa lub klęski.

Aleksander Bregman, omawiając mój artykuł pt. *ABC polityki*, „*Kultury*”, zauważył, że jest to „fragment kampanii na rzecz rewizji naszego stosunku do Rosji”. To jest słuszne stwierdzenie. Usiłujemy poddać rewizji tradycyjną polską politykę w stosunku do Rosji – ponieważ polityka ta przyniosła nam same klęski i zawody. Niemniej, jak postaram się wykazać: nie likwidatorzy typu Bregmana, lecz my w „Kulturze” bliżsi jesteśmy tradycji w jej istotnym sensie.

Nigdy w naszych dziejach nie byliśmy partnerem Rosji. Zawsze byliśmy rywalem – zwycięskim lub pokonanym. Jako pobity rywal produkowaliśmy równocześnie pokonanych-niepogodzonych i pokonanych-serwilistów. Ów schemat historyczny powtórzył się jeszcze w okresie powstania warszawskiego. Na barykadach walczyli pokonani-niepogodzeni a w Komitecie Lubelskim urzędowali pokonani-serwiliści.

Na emigracji ci z nas, którzy w polityce widzą coś więcej niż manifestacje i „ślubowania” – od dawna zdają sobie sprawę, że nasza

tradycyjna polityka w stosunku do Rosji wymaga gruntownego przemyslenia. W wielowiekowej walce o przywództwo na Wschodzie w sensie terytorialnym zostaliśmy pokonani. W konsekwencji, jeżeli przez „ideę jagiellońską” rozumieć ekspansję terytorialną – wypada obiektywnie stwierdzić, że „idea jagiellońska” stała się anachronizmem.

Stwierdzenie powyższych faktów nie oznacza jednak bynajmniej, że polska „misja na wschodzie” dobiegła kresu. Oznacza to tylko, że cele i strategia owej misji muszą ulec zmianie.

Musimy uznać, że w dziedzinie stosunków polsko-rosyjskich nie ma łatwych rozwiązań. W tego typu historycznym gąszczu nienawiści, kompleksów i uprzedzeń nie można niczego załatwić przy stole konferencyjnym. Gdyby na skutek takich czy innych konferencji międzynarodowych wojska sowieckie opuściły Europę Wschodnią – byłoby to osiągnięcie o ogromnym znaczeniu. Bylibyśmy niepodlegli, lecz na jak długo? Gdyby Moskwa wycofała swoje wojska, lecz zachowała w stosunku do nas wrogą i nieufną postawę – w dalszym ciągu wiślałby nad nami rosyjsko-niemiecki miecz następnego rozbioru Polski.

Logicznie biorąc, mamy przed sobą tylko dwa rozwiązania. Albo Rosję pobić, albo się z nią ułożyć. Ponieważ nie możemy jej pobić, musimy się z nią ułożyć. Na to by się z nią ułożyć, musimy ją wprawdzie zmienić. I w tym miejscu rozpoczyna się nasz problem.

Polacy na emigracji na ogół nie zdają sobie sprawy z wpływów, jakimi dysponuje Polska – w szczególności polska kultura na terenie Związku Sowieckiego. Mało kto wie – powiedzmy dla przykładu – że dziś w Mińsku mieszka więcej Polaków niż przed wojną. Kołakowski, a nawet Schaff są w ZSSR potajemnie czytani i dyskutowani. Polska prasa i literatura mają w Rosji pozycję wręcz wyjątkową. Nie „Encounter” czy „Preuves”, lecz zeszyty paryskiej „Kultury” czy jej wydawnictwa kolekcjonuje się w redakcjach pism literackich w ZSSR.

Terytorialnie jesteśmy pobici, lecz kulturalnie jesteśmy obecni. Kultura polska jest jedną z najbardziej atrakcyjnych na wschodzie Europy. Nieufność Ukraińców i Litwinów tu miała przed wojną swe źródło. Rosjanie, którzy są tylekroć liczniejsi od nas, oczywiście nie boją się polonizacji. Lecz doceniając atrakcyjność polskiej kultury, zdają sobie sprawę z możliwości jej ekspansji w sprzyjającym momencie.

W tym miejscu dotykamy jednego z historycznych punktów niewrażliwych w stosunkach polsko-rosyjskich. Ów kompleks „miłości-nienawiści” który charakteryzuje obie strony – polega na tym, że Rosjanie, doceniając siłę przyciągania polskiej kultury, obawiają się

jej jagiellońskiego potencjału. Rosjanie nie ufają nam, bo jeszcze dziś patrzą na nas jako na potencjalnego rywala.

Uznając naszą klęskę w sensie terytorialnym, nie mamy powodu przed Moskwą kapitulować. Byłoby oczywiście nonsensem w epoce atomowej marzyć o nowej wyprawie kijowskiej. „Program rosyjski” „Kultury”, choć nie zmierza do ekspansji terytorialnej, jest niewątpliwie bardziej ambitny niż wszystkie polskie nowoczesne programy wschodnie dotąd sformułowane.

Ideałem wielu Polaków na emigracji jest wyłączenie Rosji z Europy. Przez owo wyłączenie rozumiemy ewakuację wojsk sowieckich z krajów satelickich, a w szczególności z NRD. Założmy, że kryzys w NATO doprowadzi z czasem do sojuszków bilateralnych. Dla pełni obrazu dodajmy, że polityka amerykańska oscyluje zazwyczaj pomiędzy globalizmem a izolacjonizmem. Już dziś nie brak w prasie światowej proroków głoszących adwent nowej ery izolacjonizmu.

Publicyści polscy na łamach oficjalnego londyńskiego „Dziennika Polskiego” z rozwojem sytuacji po liniach naszkicowanych powyżej – łączą wielkie nadzieje. Ci panowie twierdzą bowiem, że gdyby ewakuacja wojsk amerykańskich z Europy Zachodniej została uzależniona odpowiednim układem od równoczesnej ewakuacji wojsk sowieckich z Europy Wschodniej – wówczas „wycofanie wojsk US opłacałoby się”.

W mojej opinii, gdyby Amerykanie, znużeni sytuacją w NATO, któregoś pięknego poranka postanowili wycofać się z Europy (w całości lub częściowo) – nie zażądałoby od Moskwy niczego w zamian. W rezultacie mielibyśmy po dawnemu dywizje sowieckie na Wschodzie – natomiast nie mielibyśmy dywizji amerykańskich na Zachodzie.

Chciałbym przekonać cierpliwego Czytelnika, że żadne „wyzwolenie”, ewakuacje czy nawet gwarancje nie zmieniają na jotę faktu, że Rosja, a nie Ameryka jest naszym potężnym sąsiadem, od którego postawy i polityki w znacznej mierze zależy nasze bezpieczeństwo. Nie możemy Rosji pobić i nie chcemy przed nią kapitulować. Jedynym rozwiązaniem jest tchnąć nową treść w naszą „misję wschodnią” i dążyć do takich przemian w Rosji, które umożliwiłyby nam zapoczątkowanie nowego rozdziału w dziejach polsko-rosyjskich.

Wielu mężów stanu, w odróżnieniu od publicystów, nie docenia wagi upowszechniania koncepcji politycznych. Polityka wschodnia Piłsudskiego załamała się przede wszystkim dlatego, że współcześni Polacy, nawet jego zwolennicy, jej nie rozumieli. Jestem przekonany, że w przyszłości znajdą się polscy politycy, którzy podejmą koncepcję „misji wschodniej”. Celem serii artykułów, które poświęciłem temu problemowi, jest poszerzyć krąg ludzi rozumiejących te sprawy.

W mojej publicystyce zajmowałem się więcej problematyką rosyjską niż niemiecką, ponieważ doszedłem do wniosku, że pojęcie polsko-rosyjskie jest czymś niepomrotnie bardziej złożonym i trudnym niż ułożenie stosunków polsko-niemieckich. Na emigracji co roku ukazuje się nowa książka o Katyniu. O Oświęcimiu nie pisze nikt. Polacy łatwiej wybaczą Niemcom Oświęcim niż Rosjanom Katyń. To są imponderabilia, których nie ima się logiczna analiza. Życie ma niewiele wspólnego z logiką i polityka ma niewiele wspólnego z logiką. Niemniej stosowanie analizy i argumentacji logicznej są jedyną metodą uracjonalnienia tak życia, jak i polityki.

Problem polsko-rosyjski zaciemnia antykomunizm. Różni panowie, którzy nie umieliby o idei jagiellońskiej wypowiedzieć dwóch rozsądnych zdań – grzmią w sążnistych artykułach o konieczności rozbicia Związku Sowieckiego. Antykomunizm – w odróżnieniu od sowietologii będącej wiedzą polityczną – stał się wylęgarnią grafomanów, którzy nie tylko spłycili problematykę polsko-rosyjską, lecz zagubili jej sens.

Likwidatorzy i zawodowi antykomuniści nie rozumieją, że w europejskim bloku komunistycznym istnieje ferment narodowościowy, a nie ideologiczny. Przykład Rumunii wykazuje jasno, że tylko komuniści mają możliwość wywalczenia pewnego stopnia niezależności państwowej. Żaden socjaldemokrata nie osiągnąłby dla Rumunii tego, co osiągnął komunista – Nicolae Ceaușescu. Kontrewolucja nie tylko nie dałaby Rumunom niezależności, lecz – przeciwnie – spowodowałaby na ich kraj katastrofę.

Partie komunistyczne posiadają niewątpliwie możliwość zdobycia w danym kraju satelickim pewnego stopnia niezależności. Walcząc o cele narodowe tak w sensie politycznym, jak i gospodarczym – komuniści zdobywają poparcie całego społeczeństwa. Zdobywszy owo poparcie i umocniwszy swoją pozycję vis à vis Moskwy – rządząca partia komunistyczna może podjąć program reform wewnętrznych.

Nie intelektualni rewizjoniści, lecz komuniści nacjonaści doprowadzą z czasem tak do przebudowy imperium satelickiego, jak i Związku Sowieckiego. Rewizjoniści ideologiczni mają w przyszłości do odegrania kapitalną rolę przede wszystkim w samej Rosji. W krajach satelickich rewizjoniści nie mogą liczyć nigdy na masowy oddźwięk. Na masowy oddźwięk może liczyć natomiast przywódca komunistyczny dążący do zdobycia niezależności dla swojego kraju. Walczyć skutecznie o niezależność może przywódca, któremu trudno zarzucić rewizjonizm. Nie można palić świeczki z obu końców i przeprowadzać rewizji zarówno na wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Powyższe uwagi stanowią podsumowanie doświadczeń dwóch „rewolucji”: węgierskiej i rumuńskiej. Model rumuński jako uwieńczony sukcesem z całą pewnością znajdzie naśladowców. Gdyby Ceaușescu był rewizjonistą ideologicznym – Moskwa już dawno zorganizowałaby zjazd taki czy inny, na którym większość „bratnich partii” potępiłaby go jako heretyka i socjaldemokratę. Jego politycznych żądań nikt by w Moskwie nie brał pod uwagę. Ponieważ jednak postawa ideologiczna przywódcy rumuńskiego jest nie do zaczepienia – jego żądań i argumentów Moskwa nie może lekceważyć.

Rewolucja-powstanie jako metoda zdobycia niepodległości posiada szanse sukcesu tylko wówczas, jeżeli działa na zasadzie naczyń połączonych. Gdyby rewolucja typu budapeszteńskiego wybuchła równocześnie w Warszawie i w Pradze, a nie tylko w stolicy Węgier – szanse powodzenia byłyby znaczne. Lecz synchronizacja ruchów masowych jest niezmiernie trudna i powstańcy w Warszawie czy w Budapeszcie nie mogą mieć nigdy pewności, że ich akcja wywoła „pożar” w innych krajach satelickich.

Doświadczenia rumuńskie wskazują, że tylko ci przywódcy komunistyczni mogą domagać się ustępstw ze strony Sowietów – którzy dysponują zarówno poparciem społeczeństwa, jak i poparciem zdyscyplinowanej partii. Wydaje się oczywiste, że domagać się pewnego stopnia niezależności może tylko państwo wewnętrznie uładowane i ustabilizowane. W wypadku rumuńskim owo „uładzenie” jest równoznaczne z rządami żelaznej ręki. Lecz większość Rumunów gotowa jest do czasu płacić tę cenę, by zdobyć dla swego kraju maksimum osiągalnej niezależności gospodarczej i politycznej.

Bez względu na to czy Amerykanie opuszczą Europę, czy jej nie opuszczą – NATO i Pakt Warszawski nie będą trwały wiecznie. Osobiście jestem przekonany, że Amerykanie pozostaną w Europie, choć ich siły zbrojne na kontynencie ulegną na pewno wielkiej redukcji. Likwidacja paktów Warszawskiego i NATO czy tylko stopniowe rozluźnienie więzi tych struktur, co już następuje po obu stronach barykady – przyniesie ze sobą wzmożenie nacjonalizmów i dążenie do politycznej niezależności. W Polsce nie brak również „Rumunów”, tak w wojsku, jak i w aparacie partyjnym, choć Gomułka do nich nie należy.

Ów proces rozpadu struktur „zimnowojennych” na terenie Europy zbiegnie się ze „zmianą warty” w państwach satelickich. Przewiduję, że w okresie najbliższych ośmiu czy dziesięciu lat znikną ze sceny nie tylko Pakt Warszawski i NATO, lecz i komuniści typu Gomułki. Pojawiają się nowi ludzie, którzy w pełni wykorzystają doświadczenia rumuńskie i w zmienionych warunkach osiągną znacznie więcej niż Ceaușescu.

Dla Rosji najbliższe dziesięć lat mogą okazać się najbardziej burzliwe i niebezpieczne w jej nowoczesnych dziejach. Triumf nacjonalizmu w państwach satelickich oraz znaczne uniezależnienie się tych państw od dyrektyw Moskwy – wyrwie dominujący wpływ na rozwój sytuacji wewnętrznej w Związku Sowieckim. Ponadto problemu narodowościowego w ZSSR nie będzie można dłużej ignorować. Lecz to jest tylko jeden aspekt sytuacji. Jeżeli Amerykanie przestaną być de facto kontrolerem Niemiec – względnie gdy owa kontrola znacznie osłabnie – Moskwa będzie musiała wypracować nowy system bezpieczeństwa, względnie porozumieć się z Niemcami.

Pisma brytyjskie wysuwały propozycję „przetargu” Niemiec za Wietnam. Rosja dopomogłaby do zorganizowania neutralnego i z czasem zjednoczonego Wietnamu – Stany Zjednoczone dopomogłyby do zorganizowania neutralnych z czasem zjednoczonych Niemiec. Fakt, że tego typu propozycje wysuwają poważne pisma, jak londyński „The Observer”, dowodzi, że status quo powoli sypie się w gruzy.

Na powyższym tle należy rozpatrywać naszą „misję wschodnią” w jej nowoczesnym wydaniu.

Pokolenie stalinowskie w Rosji jest na odchodnym. Nasza polityka jest zaadresowana do młodszego pokolenia, które w najbliższej dekadzie obejmie ster agend państwowych. Desatelizacja i dekolonizacja imperium sowieckiego jest sprawą przesądzoną. Jeżeli jednak przyszłe pokolenie przywódców rosyjskich wykaże zrozumienie nieuchronności tych przemian – przebudowa nie będzie oznaczać dla Rosji katastrofy ani degradacji w tabeli mocarstw. Polacy – jeżeli staną na wysokości zadania – będą mogli odegrać ogromną rolę w tym niezmiernie trudnym procesie europeizacji Rosji. Wydaje mi się bowiem, że tylko Polacy mają pewną szansę przekonania Rosjan, że dekolonizacja i przebudowa Związku Sowieckiego – choć jest czymś całkowicie sprzecznym z tradycją rosyjską – nie jest wymierzona przeciwko Rosji. Polacy wszystkimi dostępnymi środkami winni rozładowywać rosyjski zastarzały kompleks antyzachodni, który dziś jest historycznym anachronizmem.

Przede wszystkim winniśmy sami wydobyć się z politycznego letargu i odzyskać naszą inicjatywę na Wschodzie. Winniśmy zerwać ze schematem, który w stosunku do Rosji dzieli Polaków na dwa przeciwstawne obozy: serwilistów i likwidatorów. Ani jedni, ani drudzy nie mają żadnej szansy odzyskania inicjatywy na Wschodzie i nigdy nie zdobędą statutu partnera Rosji. Choć tak serwiliści, jak i likwidatorzy powołują się na historię, ani jedni, ani drudzy nie są dziedzicami tradycji polskiej „misji na Wschodzie”. W gruncie rzeczy bowiem istotą

owej misji nie był nigdy program likwidacji Rosji, lecz czynny udział Polski w przebudowie i w zorganizowaniu europejskiego Wschodu.

Koncepcja, którą wysuwamy, nie ma nic wspólnego z imperiaлизmem, nawiązuje jednak do najistotniejszego historycznego motywu tradycyjnej polskiej polityki wschodniej. Ów motyw pogrzebali zarówno likwidatorzy, jak i serwiliści pod tonami nienawistnej, zaślepionej bibuły propagandowej.

Ani serwiliści, ani likwidatorzy nie mają Rosji niczego do zaoferowania. Pierwsi gotowi są jej służyć na każdych warunkach – drudzy gotowi są sprzymierzyć się nawet z Niemcami przeciwko Rosji.

Polska de facto jest kluczem Europy do Rosji i kluczem Rosji do Europy. W przyszłości Rosjanie będą musieli albo porozumieć się z Polakami, albo wyjść z Europy. Bez Polski nie zorganizują bowiem trwałego systemu bezpieczeństwa. Związek polsko-czechosłowacko-węgierski w sojuszu z przebudowaną przyszłą Rosją – tworzyłby ugrupowanie, które równoważyłoby z nawiązką najpotężniejsze nawet Niemcy. Czymś innym jest jednak sojusz czy układ ze związkiem czy federacją niepodległych państw, a czymś innym jest system „pasa satelickiego”, który w razie kryzysu nie zwiększy, lecz – przeciwnie – pomniejszy bezpieczeństwo Rosji.

Polacy winni poczuć się na nowo historycznym narodem. We wszystkich obchodach milenijnych trudno dopatrzeć się renesansu Polski jako państwa historycznego. Wieczne deklamowanie o „Polsce walczącej”, o niepodległości i pięcioprzymiotnikowych wyborach – nie jest ani historią, ani polityką, ani programem. Historyczny naród musi mieć świadomość celu i dróg do owego celu wiodących, ponieważ państwo nie może być tylko osiedlem mieszkaniowym – choćby niepodległym i demokratycznie rządzonym. Państwo musi być czymś więcej. I tego „więcej” nie umieliśmy dotąd odnaleźć.

Polsko-francuskie metamorfozy

Co to jest „wielki świat”? Za czasów mojej wczesnej młodości odpowiedź na to pytanie była jasna i oczywista. „Wielki świat” to był Paryż. Od perfum i mody zacząwszy, a na literaturze i malarstwie skończywszy.

Gdy Charles de Gaulle jako kadet z Saint-Cyr chodził ulicami Paryża, miał świadomość, że stolica Francji jest stolicą świata, która przyciąga jak magnes pisarzy, artystów, intelektualistów ze wszystkich zakątków ziemi. Trzeba o tym pamiętać, by zrozumieć prezydenta de Gaulle’a i jego historycyzm.

Dziś to się wszystko zmieniło. „Wielki świat” to są Anglosasi. Kto nie drukuje po angielsku, nie istnieje jako pisarz światowy. Naukowiec – obojętne z jakiej dziedziny – jeżeli chce zrobić karierę, wyjeżdża do Ameryki. Należy stwierdzić, że język angielski jest najbardziej uniwersalnym medium komunikacji wynalezionym przez ludzkość. Ludzi, którzy z urodzenia mówią po angielsku, jest mniej niż Chińczyków. Lecz uniwersalność angielszczyzny polega na jej funkcji pomocniczej. Nie ma drugiego języka na świecie, który w takiej skali jak angielski został zaadoptowany jako „drugi język” przez inne narody.

Anglosasi oferują dwie rzeczy: technologię i język. Poza tym nie narzucają niczego. Weźmy dla przykładu Indie. Za owe miliony dolarów udzielane w formie pomocy można by forsować amerykańizację Indii – co prawdopodobnie Hindusom wyszłoby na dobre. Amerykanie tego nie robią ani w Indiach, ani w Wietnamie. Imperialny paternalizm dyktuje Anglosasom troskę o dobrobyt i zdrowotność tubylczej ludności (*natives*), lecz nie interesują się zbytnio ich kulturą i instytucjami. W tygodnikach amerykańskich spotyka się listy intelektualistów wietnamskich, którzy skarżą się, że Amerykanie lekceważą ich wielowiekową kulturę i obyczaje. To nie jest świadome lekceważenie, tylko zwyczajna obojętność.

Anglosasi, gdziekolwiek budują przyczółek, przywożą ze sobą swój świat – prasę, muzykę, filmy, kuchnię, papierosy – wszystko. Na dnie duszy żaden Anglosas nie wierzy, by jakakolwiek obca kultura miała mu cokolwiek do zaoferowania.

Rosjanie wkładają wielki trud w komunizowanie narodów satelickich. Amerykanie wolni są od trosk tego rodzaju – ponieważ narody tzw. wolnego świata amerykańizują się z własnej woli i to w zaskakującym tempie.

Za czasów mojej młodości wpływ Francji wywodził się z powszechnie przyjętego dogmatu niekwestionowanej wyższości kultury francuskiej nad wszystkimi innymi kulturami białego człowieka. Kultura amerykańska nie dysponuje mitem wyższości czy doskonałości intelektualnej, nie ma patyny wieków tradycji – jest parodiowana, ośmieszana i wykpiwana, obrosła tandetną symboliką Hollywoodu, cowbojów i Coca-Coli – i wbrew temu wszystkiemu asymilowana jest masowo i zachłannie.

Amerykanie uprzedzili nas i wyprodukowali kulturę masową, nim Europejczycy osiągnęli technologiczne możliwości wytworzenia swojej własnej kultury masowej. *Cuius regio, eius religio* – *Cuius* technologia, *eius* kultura masowa.

Europejczycy, a zwłaszcza Anglicy – jak zauważył prof. Max Beloff – pocieszają się grecko-rzymską analogią. Rzymianie to był oręż i organizacja, natomiast sztuka, filozofia, intelekt – to była Grecja. Oczywiście to jest mit wynaleziony przez Greków. W rzeczywistości centrum cywilizacji i kultury był Rzym. Greków odkryto w średniowieczu, a na większą skalę w okresie renesansu. Ekspansja kulturalna musi dysponować *delivery system*. W klasycznym Rzymie ową rolę spełniały legiony rozrzucone po całym ówczesnym świecie. Analogiczną rolę spełniają dziś businessmeni i technologiczni eksperci amerykańscy oraz wielkie fundacje amerykańskie.

Na powyżej naszkicowanym tle należy rozpatrywać sytuację Francji. Należy jeszcze podkreślić sprawę supremacji języka angielskiego. Ów problem w Anglii dotyczy tylko akcentu, lecz nie języka. Natomiast we Francji to jest problem pierwszorzędnej wagi – ponieważ język jest głównym wehikułem wpływów tak kulturalnych, jak i politycznych.

Historia każdego narodu ma swoje punkty krystalizacyjne. Dla mnie takim punktem krystalizacyjnym w nowoczesnych dziejach Francji jest Sedan. W maju 1940 roku, gdy byłem w Rumunii, nadeszła wiadomość, że Niemcy przełamali front pod Sedanem. Wówczas automatycznie skojarzyłem aktualny komunikat wojenny ze zdaniem

zapamiętany z podręcznika historii: Sedan – 1. 9. 1870, kapitulacja armii francuskiej i wzięcie do niewoli Napoleona III.

Przez 75 lat – od pierwszego Sedanu po kapitulację hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy – kwestia niemiecka była zagadnieniem życia i śmierci dla Francji. W wyniku drugiej wojny światowej Niemcy jako mocarstwo przestały istnieć i przemieniły się w szachownicę stref okupacyjnych. Mogło się wówczas wydawać, że droga do odbudowy wielkości Francji stoi otworem. Szybko okazało się jednak, że znikły nie tylko Niemcy, lecz i „koncert” europejski. De Gaulle nie chce Francji, która byłaby jednym z kantonów Stanów Zjednoczonych, Europy – z rządem federalnym, który, choćby w nim zasiadali Francuzi, nie byłby rządem francuskim. Czynniki ujednolicenia, który umożliwiłyby budowę tego typu unii zachodnioeuropejskiej – musiałyby być narzucone z zewnątrz. Nie można wyłączyć, że za 50 lat amerykańska kultura masowa dokona tego dzieła.

Wyobraźmy sobie, że ludzie w Paryżu, w Brukseli i w Amsterdamie oglądają te same programy telewizyjne, wszyscy mówią po angielsku jako drugim swoim językiem, 70% pracującej ludności zatrudniają firmy amerykańskie, względnie przemysły dominowane przez Amerykanów, rzesze młodzieży zachodnioeuropejskiej studiują na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, elita intelektualna odpływa stale do Ameryki. Gdyby ewolucja potoczyła się po tych liniach – powstałyby warunki umożliwiające zjednoczenie państw zachodnioeuropejskich.

Lecz kto ma zjednoczyć Europę przeciwko Ameryce? Nie ulega bowiem wątpliwości, że de gaullizm jest reakcją obronną przeciwko dominującemu wpływowi Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli przyjąć, że hegemonem zachodniej Europy jest Ameryka, a hegemonem wschodniej Europy jest Rosja – to należy równocześnie stwierdzić, że zachodnia Europa amerykanizuje się niepomieranie szybciej, niż wschodnia Europa się rusefikuje. Jeżeli wziąć pod uwagę tzw. technosferę – wielki business, projekty badawcze, korporacje handlowe, kulturę masową, a więc film, muzykę popularną, show business, prasę codzienną i tygodniki – to wówczas okazałoby się, że wpływy amerykańskie we Francji są wręcz nieporównywalnie większe niż rosyjskie w Polsce.

Wielkie pisma amerykańskie mają atlantyckie, czyli zachodnioeuropejskie wydania. Czy jest do pomyślenia wschodnioeuropejskie wydanie „Prawdy” drukowane w Warszawie? We Francji prasa i periodyki amerykańskie sprzedawane są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Kto czyta prasę rosyjską w Polsce? We Francji znajomość

języka angielskiego jest bardzo duża – w Polsce znajomość języka rosyjskiego jest katastrofalnie mała.

Powiem więcej. Gdyby Polska była w tym stopniu niezależna co Francja, lecz równocześnie poddana wielorakim wpływom rosyjskim, które byłyby asymilowane równie bez sprzeciwu, jak wpływy amerykańskie asymilowane są w zachodniej Europie – patrzyłbym z wielkim pesymizmem na przyszłość mojego kraju.

We Francji, Anglii czy Belgii mówi się ustawicznie o „amerykanizacji życia”. Co to znaczy? Oznacza to, że zachodni Europejczycy godzą się na postępującą wysprzedaż swych przemysłów w ręce Amerykanów i równocześnie w coraz większym stopniu akceptują amerykańską kulturalną nadbudowę. W Anglii – w grupie wielkich firm wydawniczych – firmy nieuzależnione (jeszcze) od kapitału amerykańskiego stanowią mniejszość. W innych krajach zachodniej Europy sytuacja ewoluuje w podobnym kierunku. Za kilkanaście lat zachodni Europejczycy będą nie tylko kupowali towary produkowane przez firmy amerykańskie, lecz również będą czytali książki, periodyki i prasę produkowaną dla nich przez kapitał amerykański.

W Europie Zachodniej mówi się i pisze o „amerykanizacji życia”. W Europie Wschodniej nikt nie mówi o „rusyfikacji życia”, a nawet taki termin nie istnieje.

Choć wyda się to może paradoksem – ryzykuję pogląd, że gaulliści są w trudniejszej sytuacji niż Polacy. De Gaulle nie jest ani wrogiem Amerykanów, ani przeciwnikiem sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Pragnąłby natomiast umocnić niezależność Francji i przywrócić jej dominujące stanowisko w koncercie państw europejskich. Jego konflikt ze Stanami Zjednoczonymi wywodzi się z faktu, że Ameryka jest nie tylko sojusznikiem Europy Zachodniej, lecz i jej hegemonem. Hegemoniczność Stanów Zjednoczonych wypływa z trzech źródeł: po pierwsze – z technologiczno-militarnej przewagi, po drugie – z założeń polityki globalnej, po trzecie – z ekspansji handlowo-przemysłowej.

Przeciętny Belg, Francuz czy Holender nie interesuje się globalną polityką Waszyngtonu – natomiast z tzw. amerykanizacją życia spotyka się na każdym kroku. Jeżeli sumę przemian spowodowanych wpływami amerykańskimi na kontynencie określimy mianem „rewolucji amerykańskiej” – to należy stwierdzić, że walka z „rewolucją amerykańską” jest niepomrotnie trudniejsza niż z „rewolucją komunistyczną”. De Gaulle i ludzie jego pokolenia nie rozumieją, że „rewolucja amerykańska”, mimo jej egzotyczności, jest jednak genetycznie naturalnym „dalszym ciągiem” zachodnioeuropejskiej rewolucji przemysłowej. I z tej przyczyny „amerykanizacja życia” – mimo grymasów

intelektualistów – akceptowana jest przez zachodnich Europejczyków jako proces naturalny i pożądany.

Natomiast „rewolucja komunistyczna” w Europie Wschodniej nie jest genetycznie „dalszym ciągiem” rozwoju społeczno-gospodarczego, lecz przeciwnie, jest formacją obcą, narzuconą z zewnątrz. Wpływy rosyjskie w Polsce są nikłe, ponieważ transmisją owych wpływów jest totalistyczny komunizm. W rezultacie za 20 czy 30 lat, gdy zachodnioeuropejskie miasta będą w pełni zamerykanizowane – Polska, Czechosłowacja i Węgry ostaną się jako enklawa starej Europy.

Dziś po polskich drogach turkocze ponad milion furmanek. Za 30 lat – jeżeli nie nastąpią radykalne zmiany – będzie owych furmanek jeszcze pół miliona. Europa Wschodnia stanowi swego rodzaju enklawę, ponieważ rewolucji jednego hegemonu nie akceptuje, a od rewolucji drugiego hegemonu jest odcięta. W roku 2000 młody Amerykanin, jeżeli zechce zobaczyć autentyczną Europę – będzie musiał pojechać do Krakowa, Pragi czy Budapesztu. To bowiem będą ostatnie zabytki na kontynencie Europy sprzed „rewolucji amerykańskiej”.

II

Problemem Francji są Niemcy. Ryzykuję pogląd, że francuska polityka zarówno w stosunku do Polski, jak i nawet w stosunku do Stanów Zjednoczonych – jest w pewnej mierze funkcją zagadnienia niemieckiego. Rozwiązanie Paktu Warszawskiego i NATO miałyby na celu nie tylko spacyfikowanie kontynentu lecz, przede wszystkim, odseparowanie Niemiec od Stanów Zjednoczonych.

Trudno porównywać sytuację Polski i Francji. A jednak mimo podstawowych różnic istnieją pewne analogie. Istnieją pewne sprzeczności zarówno w polityce francuskiej, jak i w polskich koncepcjach politycznych. De Gaulle potrzebuje Ameryki i jej atomowego „parasola”. Równocześnie chciałby się od Ameryki uniezależnić. Polacy potrzebują poparcia rosyjskiego, by utrzymać ziemie nad Odrą i Nysą i równocześnie chcieliby się od Rosji uniezależnić. Ameryka daleko, a Rosja blisko. Lecz amerykańskie ręce sięgają dalej.

Sprzeczności rodzą sprzeczności. Generał de Gaulle pragnie zacieśnienia więzów między Francją a Niemcami – równocześnie uznał jednak granicę na Odrze i Nysie. Polska mogłaby prawdopodobnie uzyskać międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie za poparcie polityki zjednoczenia Niemiec – niemniej Warszawa gotowa jest bronić Ulbrichta do upadłego.

Źródłem owych sprzeczności, których można by wyliczyć znacznie więcej – jest fakt, że jedynie suwerenną polityką jest polityka siły. Nie można uprawiać suwerennej polityki, nie mając siły. Owej siły nie musi się używać, lecz jej obecność musi być oczywista dla wszystkich zainteresowanych. Tylko w ramach polityki suwerennej można uniknąć sprzeczności, choć nie błędów. Każda polityka nie w pełni suwerenna jest pasmem kompromisów oraz trudną umiejętnością wyboru mniejszego zła.

Czy to oznacza, że powinniśmy skapitulować wobec naszych hegemonów? Z całą pewnością – nie. Oznacza to jednak, że pewne cele osiągnąć możemy tylko poprzez Waszyngton i Moskwę. Francja dysponuje większymi wpływami w Waszyngtonie niż Polska w Moskwie – niemniej z lektury prasy amerykańskiej wynika jasno, że generał de Gaulle zantagonizował przeciwko Francji nie tylko sfery oficjalne lecz i „inteligencję” amerykańską. Tego nie będzie łatwo odrobić.

Wszystko się zmieniło i definicja niezależności również uległa zmianie. Osobiście uważam generała de Gaulle’a za najbardziej oryginalnego polityka współcześnie żyjącego. Wydaje mi się jednak, że Francja w drugiej połowie dwudziestego wieku byłaby wówczas maksymalnie niezależna od Stanów Zjednoczonych, gdyby ambasador francuski w Waszyngtonie zajmował czołową pozycję, gdyby lobby francuskie było potężne – gdyby wpływy francuskie w Ameryce były różnorakie i skuteczne.

Partnerem Polski jest Rosja, bez względu na to, czy się nam to podoba, czy nie. Partnerem Francji i państw zachodnioeuropejskich są Stany Zjednoczone, bez względu na to, czy się nam to podoba, czy nie. Stopień niezależności jest równoznaczny ze stopniem wpływu na politykę partnera – bo tylko poprzez wpływ można uniknąć sytuacji, w której nasz partner podejmie decyzję o nas bez nas.

Oczywiście na pewną niezależność może się zdobyć przywódca, który cieszy się poparciem większości swego społeczeństwa. Gomułka nie chce niezależności, ponieważ pełna zależność od Rosji stanowi główny i jedyny fundament jego władzy i bezpieczeństwa. Z tych przyczyn rozmowy pomiędzy de Gaulle’em a Gomułką nie mogły dać żadnego pozytywnego rezultatu. Trzeba być samodzielnym na wewnątrz, by móc być, w pewnej mierze, niezależnym na zewnątrz.

De Gaulle nie powiedział w Polsce nic antyrosyjskiego czy antyamerykańskiego. Wyjąwszy sprawę zjednoczenia Niemiec – Prezydent zarysował plan w zasadzie zgodny zarówno z założeniami polityki rosyjskiej, jak i amerykańskiej. Gomułka – bez większego osobistego ryzyka – mógł podjąć inicjatywę, która zapoczątkowałaby nieistniejącą polską politykę zagraniczną. Gomułka tego nie zrobił, ponieważ nie miał instrukcji z Moskwy – i wobec tego w swym przemówieniu w Sejmie wyrecytował klasyczny „drętwy szablon”, który wszyscy znamy na pamięć.

Koncepcja „Europy Środkowej” wysunięta przez de Gaulle’a – pokrywa się z planami różnego typu *disengagement*. Projekt likwidacji bloków wojskowych w Europie był wysuwany wielokrotnie przez Rosjan, a ostatnio przez Rumunów. Zastąpienie konfrontacji

przez współpracę na terenie Europy jest dalekofalowym celem polityki amerykańskiej. To wszystko prawda, lecz Gomułka nie czytał tego w „Izwiestiach” – wobec tego sugestie de Gaulle’a uznał za podejrzone.

Na czym polega wartość i znaczenie inicjatyw de Gaulle’a? Prezydent Francji jest jedynym zachodnim mężem stanu, który dąży do uporządkowania spraw europejskich. Amerykanie i Rosjanie mogą spokojnie czekać następne 100 lat na ułożenie Europy, bo nie Waszyngton i nie Moskwa przepołowione są murem, tylko Berlin.

Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że ostateczny układ europejski (a przede wszystkim nowy status Niemiec) – musiałby być negocjowany i gwarantowany tak przez Rosję, jak przez Stany Zjednoczone. Ani Waszyngton, ani Moskwa nie zgodzą się na układ, który podważałby amerykańsko-sowiecką równowagę siły. Lecz nakłonić supermocarstwa do podjęcia negocjacji w tej kardynalnej sprawie mogą tylko Europejczycy. I tylko Europejczycy jako strona zainteresowana mogą wypracować plan przyszłego ładu europejskiego, który stałby się przedmiotem negocjacji. Gdyby Polska i Francja podjęły rozmowy i studia w sprawie zastąpienia konfrontacji współpracą, a w szczególności w sprawie rozwiązania problemu niemieckiego, byłby to wielki krok naprzód ku ułożeniu Europy.

Węzłem gordyjskim problemu europejskiego są Niemcy. Ponieważ zjednoczenie jest nie do przyjęcia dla Rosjan, a zalegalizowanie podziału Niemiec jest nie do przyjęcia dla Amerykanów – musi być znaleziona trzecia formuła, która byłaby do przyjęcia zarówno dla Wschodu, jak i dla Zachodu.

W dniu 16. 4. 1956 roku w „Prawdzie” ukazał się komentarz dotyczący neutralnego statusu Austrii. Następujący fragment cytowanego artykułu zasługuje na uwagę:

Nie jest sprawą przypadku, że w Niemczech Zachodnich ludzie z rosnącym zainteresowaniem rozważają ten przykład (Austrii). Coraz częściej słyszy się następujące pytanie: jeżeli mała Austria z 7 milionami mieszkańców nie tylko nie utraciła niepodległości, lecz, przeciwnie, wzmocniła ją – dlaczego niemiecka Republika Federalna odrzuca tego typu politykę? Dlaczego niemiecka Republika Federalna wydawać musi olbrzymie sumy na zbrojenia i ograniczać swą suwerenność na rzecz militarnego bloku zachodniego?

Trafna wydaje się opinia W. B. Badera wyrażona w interesującej książce *Austria between East and West* (Stanford University Press, California) – że Rosja zgodziła się na status neutralny Austrii, by

stworzyć przykład dla Niemiec i „zareklamować” korzyści wypływające z neutralizmu.

Najsłabszym punktem w koncepcji europejskiej de Gaulle’a są Niemcy. Generał domaga się zjednoczenia obu republik niemieckich, nie oferując Rosji niczego w zamian. Zjednoczenie Niemiec jest nie tylko problemem samostanowienia, lecz i zagadnieniem równowagi sił. Jednostki sowieckie w Niemczech Wschodnich można albo zmusić do wycofania się siłą, albo ewakuację tych jednostek trzeba wynegocjować – oferując coś w zamian. Zmienić zarówno status quo jak i *balance of power* – można by tylko siłą. Jednostronne osłabienie pozycji Rosji nie może być przedmiotem negocjacji, bo Moskwa nie podejmie rozmów w tej sprawie. Pokojowe zjednoczenie Niemiec musiałoby przybrać formę, która nie naruszałaby istniejącej równowagi sił. Innymi słowy, zjednoczone Niemcy nie mogłyby przynależeć militarnie czy politycznie ani do Wschodu, ani do Zachodu.

To jest idea bardzo niepopularna. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że ci sami ludzie, którzy są przeciwnikami neutralizmu – oczekują, że Amerykanie któregoś dnia wynegocjują nowy układ dla Europy i zainicjują „traktat pokojowy z Niemcami”.

Generał Hermann Ramcke, który w ramach Afriki Korps dowodził brygadą spadochronową – odmówił we wrześniu br. podania ręki korespondentowi „The Sunday Times”, ponieważ w jego opinii nie było traktatu pokojowego z Niemcami i Niemcy de facto są w stanie wojny z Wielką Brytanią.

Nie wszyscy Niemcy idą w tej sprawie tak daleko, jak gen. Ramcke, nasz stary emerytowany przeciwnik z Afryki, niemniej wszyscy Niemcy obiecują sobie po owym traktacie bardzo wiele. Zaznaczyłem kiedyś przy innej okazji, że żaden traktat pokojowy nie jest władny przemienić totalnej klęski w zwycięstwo. Lecz w tej chwili chciałbym uwypuklić inny punkt.

Założmy dla przykładu, że Amerykanie i Rosjanie zasiadają do stołu obrad i po wielu latach debat i negocjacji – podpisują nowy „generalny traktat europejski”. Na marginesie warto zaznaczyć, że podpisanie traktatu austriackiego było wynikiem 374 (!) konferencji. Gdyby rozmowy w sprawie Europy pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem rozpoczęły się jeszcze w bieżącym roku – Europejczycy mojego pokolenia mieliby niewielką szansę doczekania dnia ostatecznego sfinalizowania i podpisania układu. Jeżeli układ austriacki negocjowano niemal pięć lat, to układ europejski – o ileż bardziej skomplikowany – być może negocjowano by przez lat dziesięć.

Wyobraźmy sobie jednak, że nadszedł ów szczęśliwy dzień i traktat został podpisany. Cóż ów traktat by postanawiał?

Problem europejski jest powiększonym problemem niemieckim. Podobnie jak Niemcy, Europa rozpada się na dwie strefy wpływów: amerykańską i rosyjską. Zjednoczenie Europy musiałoby się dokonać na tych samych warunkach co zjednoczenie Niemiec – to znaczy, zjednoczona Europa musiałaby być wyłączona z systemów wojskowych zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Związku Sowieckiego. Każde inne rozwiązanie byłoby nie do przyjęcia dla supermocarstw, ponieważ zmieniałoby światowy *balance of power*. Oba supermocarstwa gwarantowałyby granice i kontrolowałyby pułap ściśle określonych liczebnie, lokalnych armii. W sumie zjednoczona Europa byłaby Europą neutralną.

Osobiście nie przewidyuję rozwoju po liniach naszkicowanych powyżej. Dwa największe mocarstwa Europy Zachodniej – Niemcy i Francja – hołdują dwóm sprzecznym koncepcjom politycznym. Niemcy ufają, że sojusz z Ameryką i poparcie najpotężniejszego mocarstwa świata umożliwi im kiedyś dokonanie zjednoczenia obu republik niemieckich bez konieczności przyjmowania statusu neutralnego. Generał de Gaulle natomiast ufa, że Europa zdoła z czasem własnymi siłami wydobyć się spod politycznej i militarnej hegemonii obu supermocarstw.

Potencjalny rewizjonizm niemiecki cementuje status quo w Europie. Na dwudziestoletni układ Chruszczow–Ulbricht Stany Zjednoczone odpowiedziały deklaracją, że dołożą wszelkich starań, by pomóc Niemcom w dziele pokojowego zjednoczenia. Powtórzono przy tej okazji tezę poczdamską, że o finalnym wytyczeniu granic zdecyduje traktat pokojowy. Stanowisko Waszyngtonu w tej sprawie nie uległo zmianie. Amerykanie nie mogą oficjalnie uznać granicy na Odrze i Nysie, muszą popierać legendę o traktacie pokojowym – ponieważ w przeciwnym wypadku w opinii niemieckiej mogłyby się dokonać niebezpieczne przesunięcia ku Wschodowi.

Generał de Gaulle nie zdołał przekonać Niemców. Prasa niemiecka oceniła jego przemówienia w Polsce bardzo krytycznie. Niemcy mają kult siły we krwi i wiedzą, że polityki siły nie można robić bez siły. Wiedzą również, że nie od Polaków i nie od Francuzów zależy zjednoczenie Niemiec, tylko od Rosji i od Ameryki.

Europa niewątpliwie mogłaby w znacznym stopniu uniezależnić się od obu supermocarstw gdyby była zjednoczona. Lecz nie jest zjednoczona.

III

Wizyta generała de Gaulle’a w Polsce była we wschodnioeuropejskiej perspektywie dużym wydarzeniem. Przede wszystkim należy podkreślić, że Prezydent Francji był pierwszym zachodnim mężem stanu, który przemawiał do Polaków bez „uzgodnionych” tekstów – całkowicie swobodnie. Przełamał izolację, która sprawia, że Polacy czują się odcięci od Zachodu.

Przemówienia de Gaulle’a nie są obliczone na bezpośredni efekt polityczny dziś czy jutro. W jego planach – podobnie jak w nim samym – zmysł historyczny bierze górę nad zmysłem politycznym.

Jeden z dziennikarzy francuskich towarzyszący Prezydentowi w jego podróży po Polsce – po przemówieniach w Sejmie zauważył: „obserwujemy »zderzenie« surrealistycznego przywódcy pragmatycznego narodu z pragmatycznym przywódcą surrealistycznego narodu”.

Powyższą frazę można by uznać za genialne sformułowanie, gdyby Gomułka był pragmatykiem. Niestety, Gomułka jest doktrynerem i z pragmatyzmem nie ma nic wspólnego.

Robert Elphick w reportażu z Polski wspomniał o bezimiennej staruszce w Katowicach, która ze łzami w oczach powiedziała Prezydentowi, że jest szczęśliwa, ponieważ dożyła dnia jego wizyty w Polsce, choć martwi ją fakt, że Generał może trochę za wiele okazuje przychylności komunistom.

W Polsce niełatwo jest uchwycić różnicę pomiędzy surrealizmem a pragmatyzmem. De Gaulle był gościem komunistycznego rządu polskiego. Jest zrozumiałe, że nie chciał wygrywać nastrojów społeczeństwa przeciwko rządowi. Budzi natomiast zastrzeżenia osoba adresata. *Détente – entente – coopération* jest programem nie do przyjęcia dla satelickiego rządu w Warszawie. Jestem jak najdalej od zoologicznego antykomunizmu – wydaje mi się jednak, że należy rozróżnić pomiędzy komunizmem sowieckim, chińskim i jugosłowiańskim

z jednej strony, a komunizmem polskim, czechosłowackim i węgierskim z drugiej strony. Komunizm sowiecki, chiński i jugosłowiański posiada pewne cechy autentyzmu. Rosjanie nie mogą powiedzieć, że ich obecny ustrój został im narzucony z zewnątrz. Bez względu, czy się ów ustrój komuś podoba, czy nie, to jest autentyczny rosyjski produkt. Natomiast w Polsce komuniści po 20 latach nie zdołali przełamać fasadowości ustroju. Polski komunizm w roku 1956 miał szansę uautentycznienia się w obliczu społeczeństwa – lecz Gomułka ową szansę zdławił. Z tych przyczyn Rosjanie nigdy nie myślą o *libération*, tylko o przebudowie. Polacy natomiast myślą jeszcze o „wyzwoleniu” w sprzyjających warunkach, ponieważ obcego ustroju nikt nie przerabia, tylko go odrzuca. Warunkiem ewolucji komunizmu w Polsce musiałyby być drugi Październik, który usynowiłby rewolucję w opinii społeczeństwa. Wówczas dopiero ożyłby w Kraju ruch reformy i przebudowy – bo reformować można tylko własny ustrój, a nie cudzy.

Ochab, którego oficjalnym gościem był generał de Gaulle, nie życzył sobie, by prezydent Francji złożył wizytę kardynałowi Wyszyńskiemu. Wizyta de Gaulle’a u kardynała byłaby więc dyplomatycznym faux pas. Lecz Generał ma tak wyjątkową pozycję, że mógł śmiało pozwolić sobie na taki gest. Kardynał Wyszyński jest nie tylko dostojnikiem kościoła, lecz również reprezentuje niewspółmiernie większy odłam społeczeństwa polskiego niż Gomułka. Gdyby Prezydent odwiedził Prymasa, zarzuty wysuwane w pewnych kołach, że wizyta wzmocniła jednostronnie prestiż rządu komunistycznego – byłyby bezpodstawne.

W Europie na przestrzeni ostatnich lat 30 wszystko uległo zmianie, lecz nie stosunek Francji do Polski. Problemem zasadniczym Francji tak dziś, jak i w przeszłości są Niemcy. De Gaulle popiera ideę zjednoczenia Niemiec, ponieważ trudno odmówić Niemcom prawa do narodowego samostanowienia w ramach politycznej filozofii de gaullizmu. Francja w stosunku do Niemiec, nawet przyjaznych, potrzebuje przeciwwagi. Owa potrzeba zostanie jeszcze silniej zaakcentowana w chwili zjednoczenia Niemiec. Polska nie może dostarczyć owej przeciwwagi. W obecnych warunkach owej przeciwwagi dostarczyć może tylko Rosja. W przeszłości Francuzi szukali zawsze najsilniejszego sprzymierzeńca przeciwko Niemcom. Jeżeli poparcie rosyjskie można kupić za poświęcenie interesów polskich – Francja poświęci nas bez wahania i nikt nie może brać jej tego za złe.

Gomułka podkreślił, że Francja po raz pierwszy w dziejach nie musi wybierać pomiędzy Polską a Rosją. Istotnie tak jest i dlatego w „Le Figaro” ukazała się karykatura de Gaulle’a, który przerażony ucisza

warszawiaków wznoszących okrzyki „Vive la Pologne libre!”. Polska to nie Kanada. Prezydent nie pozwolił sobie na żaden gest, który byłby propolski, lecz równocześnie antyrosyjski. Pozwolił sobie natomiast na wiele gestów bardzo nieprzyjemnych dla Niemców.

Tradycyjny stosunek Francji do Polski ulegnie zmianie, gdy nasza pozycja w stosunku do Rosji ulegnie zmianie. Jeżeli kiedyś Związek Sowiecki przekształci się w nowoczesny związek państw, a Polska z satelity stanie się równorzędnym partnerem nowej Rosji – wówczas prezydent Francji, lądując w Warszawie, będzie mógł wznieść okrzyk „Vive la Pologne libre!”, nie obrażając Moskwy. Wtedy Polska nie będzie dla Paryża „namiastką” Rosji, lecz niezależnym partnerem Rosji, o którego względy należy zabiegać. Dziś, jeżeli Ochab i Gomułka nie robią żadnej różnicy pomiędzy Polską a Rosją – trudno wymagać od Francji, by traktowała nas odmiennie. Fakt, że okrzyk „Vive la Pologne libre!” uważany jest tak przez rząd polski, jak i przez prezydenta Francji za równoznaczny z manifestacją antyrosyjską – stanowi przerażający dowód satelickości Polski Ludowej.

Generał de Gaulle Anglosasom działa nieprzeparcie na nerwy. Lecz dla Polaka, nawet krytycznie oceniającego pewne jego posunięcia – jest postacią sympatyczną. Generał nie jest ani technokratą, ani biurokratą. Jest ostatnim z galerii wielkich postaci europejskich z minionej epoki, z epoki, w której indywidualność, dar słowa i wizji znaczyły więcej niż komputery.

Wystarczy porównać świetne w formie, zaskakujące, kontrowersyjne przemówienia de Gaulle’a z „drętwą mową” komunistycznych przywódców – by zrozumieć entuzjazm Polaków, z których połowa to ludzie młodzi, którzy po raz pierwszy w życiu usłyszeli i zetknęli się twarzą w twarz z historyczną postacią zachodnioeuropejską.

Stare wino w nowych beczkach

W rozmowach z młodymi ludźmi z Kraju padają nieodmiennie dwa stwierdzenia: a) po co mówić o polityce, kiedy jest tyle innych ciekawszych tematów? Oraz – b) po co mówić o polityce, kiedy my i tak na to nie możemy nic poradzić? Wielu moich rozmówców dodaje jeszcze uwagę, że „Kultura” udziela rad rządzącym, a nie rządzonym i jeżeli prowadzimy dialog, to raczej z Gomułką i z partią, a nie ze społeczeństwem.

W pokoju, w którym pracuję, znajdują się setki książek i czasopism. 80% owych wydawnictw nie można by przewieźć do Kraju. Na przeszkodzie stoi polityka. Ze względów politycznych Jasienica zamilkł, a Kołakowski wykłada za granicą, zamiast w Warszawie. Byłoby krzywdzące powiedzieć, że w Polsce czy w Rosji nie ukazują się interesujące książki. Lecz nie ulega wątpliwości, że w innym systemie politycznym literatura i sztuka kwitłyby w obu cytowanych krajach, podczas gdy dziś zaledwie wegetują.

Dla wielu polityka jest nudna. Lecz życie w Polsce nie stanie się bardziej interesujące, dopóki nie zmienimy systemu politycznego, który jest źródłem polskiej nudy. Prasa polska jest jedną z najnudniejszych na świecie. Zeszyty „Kultury” mają wysoką cenę na czarnym rynku w Kraju nie dlatego, że „Kultura” daje jakąś czarodziejską receptę na rozwiązanie obecnej sytuacji – lecz dlatego, że jest to pismo żywe i interesujące.

Nuda jest „społecznym złodziejstwem”. Fakt, że „Kultura” nie może ukazywać się w Warszawie, oznacza, że tysiące ludzi okradziono z dobrego pisma. Miliony ludzi w Polsce i w Rosji okradziono ze wspaniałej literatury, która powstałaby w innym ustroju. Owym milionom ukradziono historię, filozofię, socjologię – ukradziono kontrowersyjną, czasem dziwaczną, lecz zawsze fascynującą i przebogatą

problematykę dwudziestego wieku. To jest typ zbrodni, której nie można wyrównać w stosunku do danego pokolenia. Za dwa czy trzy lata przewrót może przynieść wolność i demokrację. Lecz polski inteligent na prowincji liczący dziś 40 czy 45 lat, który nie miał dostępu do książek zachodnich – jeżeli za trzy lata wybuchnie wolność – choćby „wyczytał” swoje oczy, nie zdoła przeczytać tego, co mógłby był przeczytać, gdyby przepędził życie w innym ustroju. Z pewnych istotnych wartości okradziono go nieodwracalnie i na zawsze. Jeżeli za kilka lat zniesiona będzie cenzura – setki współczesnych pisarzy nie napisze już tych książek, które napisałiby, gdyby dziesięć lat temu istniała wolność.

Czy istotnie na to wszystko nie możemy nic poradzić?

Lecz nim odpowiem na to pytanie, spójrzmy na sytuację Polski niejako z lotu ptaka. Jak dawniej jesteśmy pomiędzy Rosją a Niemcami. Nasze położenie uległo pogorszeniu, ponieważ nasi obaj sąsiedzi są dziś znacznie potężniejsi niż w przeszłości. Na Zachodzie mamy sympatyków, lecz nie mamy sojuszników. Jedyny problem w Europie Środkowej, który w pewnej mierze interesuje mocarstwa zachodnie, to jest Berlin i zjednoczenie Niemiec. Lecz na tym koniec.

W tej chwili na scenie światowej dominującą pozycję zajmują dwa supermocarstwa, tzn. Stany Zjednoczone i Rosja. Należy jednak podkreślić, że supermocarstwowość nie jest wyłącznym wynalazkiem Amerykanów i Rosjan. Supermocarstw będzie przybywać. Kandydatami na tej liście są Japonia, Niemcy i Chiny. Nie można wykluczyć, że za 50 lat supermocarstwami będą Indie i Brazylia. Przypuszczam, że małe i średnie państwa łączyć się będą w federacje, unie celne i bloki gospodarcze, by móc konkurować z supermocarstwami na rynkach światowych.

Siła w polityce jest pojęciem relatywnym. Z chwilą gdy Rosja będzie jednym z czterech czy pięciu supermocarstw, nie będzie miała tego statusu, który posiada dziś. Lecz to jeszcze nie wszystko. O statusie supermocarstwa decyduje w znacznej mierze polityka zagraniczna. Ubezpieczenie granic, sojusze, korzystna w danym rejonie równowaga sił, a nawet kwestia wojny czy pokoju – wszystko to stanowi przedmiot polityki zagranicznej. Istnieje ścisły związek funkcjonalny pomiędzy polityką zagraniczną a wewnętrzną. Jeżeli w danym kraju 20 partii w parlamencie skacze sobie do gardła – jeżeli rządy zmieniają się co kilka miesięcy, a czasem co kilka tygodni – jest oczywiste, że państwo tego typu nie może mieć dobrej polityki zagranicznej.

W Rosji nie ma dwudziestu partii, a rządy nie zmieniają się co parę tygodni – lecz tym niemniej ustrój państwowy jest anachronizmem,

co odbija się na polityce zagranicznej. Związek Sowiecki nie ma i nie może mieć dobrej polityki zagranicznej.

Czechosłowaków, którzy byli najbardziej prorosyjskim narodem w Europie – Rosjanie zdołali przekształcić w najbardziej antyrosyjski naród w Europie. Blok państw satelickich w koncepcji Stalina miał na celu chronić Sowiety przed Niemcami i ich sojusznikami. W okresie Stalina państwa satelickie były bezwzględnie posłusznymi pionkami trzymanymi przez Moskwę żelazną ręką. Obecnie terroru jest mniej, lecz nie oznacza to, że terror zastąpiła obopólna dobra wola i współpraca. Pewne państwa satelickie – jak Rumunia czy Węgry – są dziś bardziej samodzielne niż w przeszłości. Wydaje się prawdopodobne, że ów proces częściowej emancypacji satelitów będzie postępować. Gdyby wzrost tej emancypacji oznaczał poprawę stosunków pomiędzy Rosją a jej sojusznikami – wówczas byłby to sukces sowieckiej polityki zagranicznej. Wiemy, że tak nie jest.

Satelici będą w przyszłości stanowili coraz większy problem dla Związku Sowieckiego. Przywódcy typu Gomułka i Ulbrichta są na wymarciu. Oprócz tego system satelicki nie spełnia swojego zadania. W razie wybuchu wojny Moskwa nie mogłaby liczyć na żadną z armii satelickich. Polacy walczyliby przeciwko Niemcom – lecz przeciwko Amerykanom nie walczyłby nikt. W razie wybuchu konfliktu zbrojnego w państwach satelickich nastąpiłaby seria przewrotów i rewolucji. Zamiast wału obronnego, który miał chronić Sowiety od Zachodu – Rosja miałaby pożar wzdłuż swoich granic.

Ponieważ w Rosji nie nastąpiły poważniejsze przemiany, drogi komunizmu sowieckiego i komunizmu zachodnioeuropejskiego rozchodzą się coraz bardziej. Polityka zagraniczna Sowietów traci jeden ze swoich głównych atutów.

Skłaniam się do przypuszczenia, że komuniści włoscy będą partią współrządzającą w obrębie dziesięciu lat, a może wcześniej. Gdyby w Moskwie sprawował władzę rosyjski Dubczek – nie byłoby żadnego sporu i nieufności pomiędzy komunistami włoskimi a sowieckimi. Dziś Rosjanie określają włoską partię komunistyczną mianem „socjaldemokracji”. Moskwa ma trudności w znalezieniu wspólnego języka nie tylko z zachodnioeuropejskimi komunistami, lecz również z komunistami azjatyckimi i afrykańskimi.

Do czego zmierzają powyższe uwagi?

Chciałem wykazać, że Rosja nie jest w stanie prowadzić dobrej polityki zagranicznej i w konsekwencji jest więcej niż prawdopodobne, że jej status zacznie maleć. Można by tu oczywiście dodać sprawy gospodarcze, narodowościowe itp. Ograniczam się jednak tylko

do jednego aspektu tego złożonego zagadnienia, to jest polityki zagranicznej. Twierdzą, że jeżeli w Rosji nie nastąpią radykalne przemiany, sowiecka polityka zagraniczna z każdym kwartałem będzie coraz bardziej reakcyjna, coraz mniej owocna, coraz bardziej carsko-tradycyjna.

Czytelnik zauważy w tym miejscu: jeżeli rozpoczął się już zmierzch Rosji – nie ma powodu do zmartwienia. Wystarczy cierpliwie czekać, bo czas pracuje na naszą korzyść.

Nie podzielam tego optymizmu. Historia się nie powtarza, lecz pewne schematy historyczne powtarzają się z przerażającą dokładnością.

Może wyjaśnię łatwiej moją tezę, posługując się antytezą. Wyobraźmy sobie, że rewolucja reformatorska objęła nie tylko Czechosłowację, lecz stopniowo rozszerzyła się na Polskę, Węgry i zatriumfowała również w samej Rosji. Wówczas odwieczny schemat historyczny zostałby wreszcie przełamany i z czasem pogrzebany. Pomiędzy Polską a przebudowaną nową Rosją nastąpiłoby rzetelne wyrównanie stosunków i żaden Polak, pisząc sojusznicza Rosja, słowa „sojusznicza” nie ujmowałby w cudzysłowy.

W Historii nie ma żadnej ciągłości. Istnieje tylko ciągłość przemian. Wczorajsi sojusznicy stają się wrogami – wrogowie sojusznikami itd. Lecz warunkiem przemiany jest zawsze przełamanie poprzedniego schematu. Niemcy są dziś sojusznikami Francji. Totalna klęska przypieczętowana bezwarunkową kapitulacją Trzeciej Rzeszy przełamała schemat historyczny trwający od Sedanu.

Nie zawsze wojna przełamuje schemat historyczny. Czasem ów schemat grzebie rewolucja, upadek imperialnej potęgi, brak adaptacji do zmienionych warunków itp.

Musimy przełamać historyczny schemat stosunków polsko-rosyjskich. Ten schemat nie został przełamany ani w roku 1920 – kiedy zwycięzcami byli Polacy, ani w roku 1945 – kiedy zwycięzcami byli Rosjanie.

W porównaniu z byłym zaborem rosyjskim PRL jest semi-wolna i semi-niepodległa. W Warszawie nie rządzi gubernator rosyjski, ulic nie patroluje policja rosyjska, nie wywozi się ludzi na Sybir ani nie wiesza się patriotów polskich na stokach cytadel. Niemniej schemat polsko-rosyjski nie uległ zmianie na jotę. Jednym z istotnych i klasycznych aspektów owego schematu jest potencjalna groźba porozumienia rosyjsko-niemieckiego.

Wielu Polaków na emigracji, zwłaszcza starszego pokolenia – uważa, że Rosję trzeba wyprzeć z Europy. Kto ma to zrobić? Jedynym narodem o potencjalnych możliwościach w tym względzie są Niemcy. Niemcy są kandydatem na liście przyszłych supermocarstw i już dziś

posiadają dostateczną bazę przemysłową, by podjąć poważny program zbrojeń atomowych. Któż zaręczy, czy za 20 lat Niemcy owego programu nie zrealizują?

Wroga można pobić albo można się z nim porozumieć. Gdyby kiedyś doszło do porozumienia rosyjsko-niemieckiego, Polska straciłaby nie tylko Ziemie Zachodnie, lecz utraciłaby również możliwość rozwoju gospodarczego i politycznego. Natomiast Rosjanie w porozumieniu z Niemcami dominowałiby nad całym kontynentem Europy.

Dążeniem polskiej polityki w jakimkolwiek wydaniu musi być stworzenie układu, który wyłączałby porozumienie rosyjsko-niemieckie, czyniąc je zbędnym. Gdyby kiedyś powstała federacja polsko-czechosłowacka – lub luźniejszy związek polsko-czechosłowacko-węgierski – to tego rodzaju zgrupowanie mogłoby być pełnowartościowym partnerem Rosji. Federacja polsko-czechosłowacka chroniłaby Rosję przed Niemcami, a z drugiej strony byłaby zbyt potężna, by jej kosztem Moskwa mogła porozumieć się z Niemcami. Wtedy, lecz dopiero wtedy, ów schemat polsko-rosyjski, którego istotą jest potencjalne porozumienie rosyjsko-niemieckie kosztem Polski – zniknąłby z naszych dziejów.

W roku 1939, po czwartym rozbiorze Polski – Mołotow wyraził radość, że ów „brzydki karzeł traktatu wersalskiego” zniknął z mapy Europy. Mołotow wyraził się ordynarnie, lecz zgodnie z tradycją.

Polacy uważali Rosję za rywala – nigdy za partnera. Rywala trzeba oczywiście rozbić i zlikwidować. Mołotow myślał po tych samych liniach. Uważał Polskę za rywala, którego trzeba podzielić i wymazać z mapy Europy. Pokonany rywal nie przestaje być rywalem, ponieważ decyduje w tej sprawie tradycyjne nastawienie całego narodu. Przykładem tej postawy było powstanie warszawskie, które było wojskowo wymierzone przeciwko Niemcom, a politycznie przeciwko Rosji.

Nie wybielając Rosjan – co nie byłoby zadaniem łatwym – należy jednak pamiętać, że ich nastawienie do nas jest w pewnej mierze odbiciem naszego nastawienia do nich. Pokonany rywal rodzi powstańców i kolaborantów. Komitet Lubelski to byli kolaboranci, a żołnierze AK w Warszawie to byli powstańcy. Ani kolaboranci, ani powstańcy nie stanowią materiału na partnerów i Rosjanie nie ufają tak jednemu, jak i drugiemu.

Ponieważ jesteśmy nie partnerem Rosji, lecz tylko pokonanym rywalem – określenie Mołotowa nie straciło niczego ze swej aktualności. W razie wybuchu konfliktu Rosjanie będą się starali tradycyjną metodą wykupić Niemców z koalicji antyrosyjskiej. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że Rosjanie mają czym Niemcom zagrozić i mają również

czym Niemcom zapłacić. Piąty rozbiór Polski byłby w takiej sytuacji z punktu widzenia Rosji logicznym rozwiązaniem – jeżeli tym posunięciem można by kupić neutralność Niemiec.

Obaj nasi sąsiedzi od 200 lat dążą do finalnego rozwiązania kwestii polskiej. Hitlerowska „Generalna Gubernia” i PRL stanowią najświeższe przykłady w tym względzie. PRL jest nową beczką, która zawiera stare imperialne wino. Dzieje się tak dlatego, że Polska jest zbyt słaba, by prowadzić politykę pod hasłem „ani z Rosją, ani z Niemcami”. Stanowimy natomiast bramę wypadową tak Niemiec przeciwko Rosji, jak i Rosji przeciwko Niemcom. Polska jest bardzo ważnym elementem w systemie bezpieczeństwa zarówno Rosji, jak i Niemiec. Stąd tendencja obu naszych sąsiadów albo do zagarnięcia całego polskiego przedpola – albo do jego podziału pomiędzy oba zainteresowane mocarstwa.

Historia się nie powtarza, lecz ten sam zespół przyczyn, który tworzy dany schemat historyczny – powoduje skutki podobne w formie i identyczne w treści. Czwarty rozbiór Polski dokonany przez Hitlera i Stalina różnił się w formie od trzeciego rozbioru – lecz w treści był identyczny – oznaczał bowiem utratę niepodległości. Tezą niniejszego szkicu jest pogląd, że ów schemat historyczny, który w odstępach czasu produkuje rozbiór Polski, trwa nadal. Piąty rozbiór Polski jest historycznie nieuchronny, jeżeli ów schemat nie zostanie przełamany.

Czytelnik zauważy, że rozbiór nam nie zagraża, ponieważ PRL nie jest państwem niepodległym, tylko państwem satelickim wchodzącym w skład imperium sowieckiego.

Jeżeli przyjąć tezę, że pozycja Rosji na skutek jej archaicznej polityki będzie słabnąć – pozycja Niemiec będzie proporcjonalnie rosła. Rosji będzie coraz trudniej przeciwstawiać się gospodarczemu *Drang nach Osten* jednej z największych potęg ekonomicznych świata. Zwalczanie reformistów, rewizjonistów i rewolucjonistów w krajach satelickich będzie również coraz trudniejsze i coraz mniej wydadne.

Jeżeli sytuacja przybierze obrót naszkicowany powyżej – politycy na Kremlu będą musieli dojść do prostego wniosku, że jedynym zabezpieczeniem rosyjskiego imperium we wschodniej Europie jest porozumienie rosyjsko-niemieckie.

W okresie kiedy Niemcy były okupowane i przemysł niemiecki leżał w gruzach – Rosjanie przypuszczali, że koncepcje zaboru zrealizują sami – to znaczy bez udziału Niemiec. Rewizjonizm terytorialny współczesnych potężnych Niemiec nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak przypomnieniem pod adresem Moskwy, że polityka zaborcza wymaga tradycyjnego współudziałowca. Gdyby Niemcy otrzymali to, czego się domagają – zabór byłby gwarantowany zarówno

przez Rosję, jak i przez Niemcy – ponieważ zmiana układu w Europie Wschodniej nie leżałaby wówczas w interesie polityki niemieckiej.

Jeżeli Rosja będzie zdecydowana prowadzić politykę imperialną, rozbiór Polski – jak podkreśliłem uprzednio – wydaje się nieuchronny, bo tylko porozumienie rosyjsko-niemieckie może zabezpieczyć satelizację Europy Wschodniej. Niemcom nic nie zależy na tym, by w Warszawie obradował demokratyczny parlament – tylko zależy im na odzyskaniu Wrocławia. Za tę cenę byłoby gotowi pomóc Rosji w „żandarmowaniu” Europy Wschodniej.

Wielu Polaków sądzi, że rozbite jednego z owych kamieni młyńskich – tzn. Rosji albo Niemiec – wywiodłoby Polskę z tego historycznego potrzasku. Doświadczenie nie potwierdza tej tezy. W rezultacie drugiej wojny światowej Niemcy zostały powalone, lecz Polska niepodległości nie odzyskała. Jeżeli w wyniku ewentualnej trzeciej wojny światowej Rosja zostałaby rozbita, a Niemcy byłyby jednym z mocarstw zwycięskich – w moim przekonaniu nie odzyskalibyśmy również niepodległości. Musiałaby się powtórzyć sytuacja z roku 1918 – kiedy oba kamienie młyńskie były w rozsypce. Lecz tego rodzaju układ może się nigdy nie powtórzyć i byłoby naiwnością wiązać z nim jakiegokolwiek nadzieje.

Europa Wschodnia, by mogła przeciwstawić się swoim sąsiadom, musi być inaczej zorganizowana. Trzeba mieć możliwość przeciwstawienia się sąsiadowi, by z owym sąsiadem móc żyć w unormowanych stosunkach. Federacja polsko-czechosłowacka wydaje się rozwiązaniem najkorzystniejszym. Federacja winna być związkiem otwartym umożliwiającym w przyszłości przystąpienie do związku innym państwom naszego rejonu Europy.

Na temat federacji polsko-czechosłowackiej napisano setki artykułów i sporą ilość książek. Autorzy tych prac omówili i przeanalizowali wszystkie aspekty tego złożonego zagadnienia. O Federacji wiemy wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, a mianowicie: jak ją powołać do życia? W tej sprawie entuzjaści federacji zachowują dyskretne milczenie. Czytelnikowi daje się do zrozumienia, że federacja powstanie, gdy koniunktura międzynarodowa ulegnie korzystnej przemianie.

Osobiście obawiam się, że gdyby „korzystna zmiana koniunktury” wyraziła się nową edycją 1918 roku – Polacy, i prawdopodobnie Czechosłowacy, doszliby do wniosku, że federacja nie jest im potrzebna. Budowalibyśmy wówczas Polskę suwerenną i mocarstwową niepomni dawnych doświadczeń.

Gdyby Polska i Czechosłowacja mogły żyć i rozwijać się jako niezagrożone znikąd suwerenne państwa – federacja byłaby wówczas

piękną koncepcją, lecz nie koniecznością. Federacja jest koniecznością ponieważ nasi sąsiedzi tak liczbowo, jak i w potencjałach przemysłowych rosną szybciej niż my i sami w pojedynkę nie zdołamy się im przeciwstawić.

W czasie pierwszego rozbioru Prusy Fryderyka II liczyły około czterech milionów ludności. Rosja Katarzyny II około 20 milionów, a Rzeczpospolita Polska około 12 milionów. Innymi słowy, stosunek naszych sił do obu naszych sąsiadów przedstawiał się jak 1:2. Owa proporcja w roku 1930 wyrażała się stosunkiem 1:8. Obecnie owa proporcja wyraża się stosunkiem 1:10. W okresie pierwszego rozbioru nasi sąsiedzi przerastali nas dwukrotnie – dziś przerastają nas dziesięciokrotnie. Lecz powyższe cyfry – raczej przerażające – nie zapadły w świadomość narodu. Polacy kochają tradycję i tradycję identyfikują z historią. Historii często nie rozumieją i dlatego niewiele się z niej uczą.

W świetle powyżej przytoczonych cyfr jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy nie mogą osiągnąć niepodległości inaczej jak łącznie i wspólnym wysiłkiem. Jeżeli narody ujarzmione nie będą działać solidarnie – indywidualnie nie osiągną niczego.

Ewolucję w kierunku jedności utrudnia fakt, że narody ujarzmione – z wyłączeniem Czechosłowaków – nie mają ani tradycji, ani wyrobienia demokratycznego. Daleko trudniej jest ujarzmić naród demokratyczny niż naród bez tradycji demokratycznej. Naród bez wyrobienia demokratycznego nie ma wiary w moc ludu. Posiada natomiast nieograniczoną wiarę w moc policji i aparatu przemocy.

Polacy mają uzasadnioną historycznie opinię nieustraszonych żołnierzy. Gdyby Rosjanie zechcieli podjąć inwazję Polski na wzór Czechosłowacji – Polacy prawdopodobnie chwyciliby za broń. Lecz ci sami Polacy, których łatwo sobie wyobrazić walczących na barykadach przeciwko potędze Związku Sowieckiego, uważają Gomułkę czy Moczara za niezwyciężonych.

Nie namawiam Polaków w Kraju do powstania – pragnę natomiast zilustrować tezę, że najłatwiej jest ujarzmić naród, który nie jest dogłębnie przekonany, że rządzić można tylko, opierając się na społeczeństwie.

Ci, którzy rządzą, są zawsze silniejsi od rządzonych. Tak jest nie tylko w Polsce, lecz również w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, wszędzie. Obserwując od ćwierć wieku demokrację brytyjską, doszedłem do wniosku, że jej siłę stanowi fakt, że każdy dom robotniczy jest w tym kraju aktywną instytucją demokratyczną. W lecie br. (1969) toczyła się długotrwała debata pomiędzy związkami zawodowymi

a rządem w sprawie nowego ustawodawstwa strajkowego. Rząd wykazał wielką mądrość, wycofując częściowo swój projekt, choć oznaczało to dla rządu przegraną. W Anglii z robotnikami i związkami zawodowymi na dalszą metę nikt nie może wygrać i wszyscy to wiedzą. Nie chodzi mi w tym wypadku o istotę cytowanej debaty, lecz o podkreślenie faktu, że robotnik brytyjski jest świadom, że demokracja zaczyna się od niego.

Natomiast w Kraju i na emigracji przeciętny Polak uważa, że polityka, sprawy ustrojowe, reformy – to wszystko dotyczy innych ludzi, lecz nie jego. Owa postawa zmienia się dopiero w chwili zagrożenia z zewnątrz. Wówczas każdy Polak uważa, że obrona kraju jest jego sprawą.

Nie jestem pesymistą, ponieważ człowiek zaangażowany nie może być pesymistą. Niemniej, w mojej ocenie, sytuacja Polski jest zła i będzie się stale pogarszać. Nasi sąsiedzi przerastają nas dziś dziesięciokrotnie. Za 50 lat będą nas przerastali piętnastokrotnie. Żadna „zmiana koniunktury międzynarodowej”, z którą starsi panowie na emigracji wiążą wszystkie swoje nadzieje, nie odwróci tego procesu. Niektórzy Polacy wyobrażają sobie, że kiedyś wybuchnie wojna. Wówczas Rosjanie unicestwią Niemcy, a Amerykanie unicestwią Rosję. Na takie cuda nie możemy liczyć. Historia nie jest robiona na polski obstalunek.

Wydaje mi się, że przed wschodnią Europą istnieją tylko dwie możliwości. Albo obszar, o którym mowa, zostanie politycznie i gospodarczo scalony – albo zostanie podzielony. Rosjanie nie zdołają utrzymać swoich europejskich zdobyczy i będą zmuszeni szukać wyrównania stosunków z Niemcami kosztem podziału.

Polska od 200 lat znajduje się na równi pochyłej, choć Polacy nie są ani lepsi, ani gorsi od innych narodów. Czesi być może górują nad Polakami pewnymi cnotami obywatelskimi, lecz i oni dzielą dziś z nami ową równię pochyłą. W gruncie rzeczy już od bardzo dawna pomiędzy Rosją a Niemcami nie ma miejsca na mozaikę małych i średnich niepodległych państw. Niepodległość można by zapewnić tym państwom gwarancją międzynarodową. Koncepcja pasa neutralnego – wysuwana swego czasu przez „Kulturę” – zmierzała ku temu celowi. Wadą tego typu rozwiązań jest fakt, że jest w nich coś sztucznego. Gwarancja trwa tak długo, jak długo utrzymuje się dany „porządek rzeczy”. Wersalski „porządek rzeczy” trwał zaledwie 20 lat. Nie wydaje mi się również, by Stany Zjednoczone zechciały w przyszłości zwiększać swoje zobowiązania w Europie – zwłaszcza w Europie Wschodniej, gdzie „każdej chwili może się coś stać”, jak określił to kiedyś Lippmann.

Rozmowy z Polakami krajowymi przekonały mnie, że w Polsce nikt nie liczy na pomoc Zachodu. Sojusze egzotyczne nie uchronią

nas przed klęską ani nie przywróciły nam niepodległości. Jesteśmy sam na sam z naszym niełatwym losem, wtłoczeni pomiędzy dwa potężne liczebnie i przemysłowo narody, które z każdą dekadą przerastać nas będą coraz bardziej.

W naszej sytuacji nie ma magicznych rozwiązań. Wielu Polaków sądzi, że ewolucja czy rewolucja miałyby szansę sukcesu tylko wówczas, gdyby rozpoczęła się w Rosji. Nie podzielam w całej rozciągłości tej opinii, lecz przyznaję, że zasadnicze przemiany ustrojowe w Rosji, bez względu na metodę, byłyby rozwiązaniem idealnym.

Rosja jest najpotężniejszym krajem wschodnioeuropejskim, lecz nawet w skali wschodnioeuropejskiej jest krajem najbardziej opóźnionym w rozwoju. Rosjanie cenią sobie, gdy mogą przyjechać do Polski i w rozmowach z Polakami nie tają, że Polskę uważają za Zachód. Warszawa to wprawdzie nie Paryż – lecz niewątpliwie Warszawa, a nie Moskwa w pewnym sensie podobna jest do Paryża. Rosjanie podkreślają, że tylko niebo nad Warszawą jest rosyjskie – wszystko inne jest zachodnie. Byłoby więc czymś logicznym i naturalnym, gdyby rewolucja czy reformacja przyszły do Rosji z Zachodu – to znaczy z Warszawy i z Pragi.

W drugiej połowie dwudziestego wieku trudno mi uwierzyć w rewolucję typu rewolucji październikowej z tłumami szturmującymi siedzibę KC w Warszawie. Nowoczesna rewolucja jest dziś przede wszystkim prądem umysłowym i programem stopniowej reformy ustroju. W tym sensie rewolucja czechosłowacka posiadała wszystkie znamiona nowoczesności.

W mojej książce *Polityczne neurozy*, w szkicu pt. *Rozprawa o metodzie*, starałem się przeanalizować błędy przywódców powstania węgierskiego. Czechosłowacy popełnili również poważne błędy. Błędem było nadawanie specjalnych programów radiowych po ukraińsku, ponieważ słuszne posunięcie, ale dokonane przedwcześnie – jest zawsze błędem. Lecz zasadniczym błędem rewolucji czechosłowackiej był fakt, że od samego początku pomyślana była jako „odwrotność” powstania węgierskiego. Nie zarzucam Czechom, że w chwili gdy ulice Pragi zaroily się od czołgów sowieckich, nie podjęli walki. Uważam natomiast za kardynalny błąd, że na wiele tygodni przed inwazją czechosłowackie przywództwo partyjne podjęło decyzję, że w żadnym wypadku siła nie zostanie użyta. Rosjanie o tej decyzji oczywiście wiedzieli. Podjęcie inwazji niczym im nie groziło. Gdyby Czesi głosili od początku, że pragną rozwiązać kryzys na drodze negocjacji i przyjaznych rozmów – lecz na siłę odpowiedzą siłą – być może Breżniew nie uzyskałby większości w Politbiurze dla swoich planów inwazyjnych.

Polacy krajowi, z którymi rozmawiałem, dzielali moją opinię, że rewolucja typu czechosłowackiego podjęta równocześnie w Polsce i w Czechosłowacji miałaby znaczne szanse sukcesu bez rozlewu krwi. Lecz przywódcy polscy i czechosłowaccy musieliby wyrazić gotowość rozmów z Moskwą, zaznaczając spokojnie i bez prowokacji, że na siłę odpowiedzą siłą.

Federacja polsko-czechosłowacka nie zostanie ogłoszona i podpisana przy biciu dzwonów w Warszawie i w Pradze. Taka federacja musi wprawdzie założyć korzenie w świadomości szerokich mas obu narodów. Polacy i Czechosłowacy muszą zrozumieć – od czego jak dotąd są bardzo dalecy – że pewien stopień niepodległości możemy odzyskać tylko łącznie, nie oddzielnie.

Dzieli nas wiele spraw, między innymi problem niemiecki. Polacy mają spór z Niemcami o granicę na Odrze i Nysie. Czechosłowacy i Węgrzy nie chcieliby obciążać swych przyszłych stosunków z Niemcami, solidaryzując się z polskim punktem widzenia. Winniśmy przekonać tak Czechosłowaków, jak i Węgrów, że nasz wspólny polsko-czechosłowacko-węgierski spór z Rosją jest stokroć ważniejszy i istotniejszy niż indywidualny spór polsko-niemiecki.

Niemcy, podobnie jak Rosja, odnoszą się zawsze z największą podejrzliwością do wszystkich projektów scalenia Europy Wschodniej, ponieważ silna gospodarczo i politycznie federacja polsko-czechosłowacka wyłączałaby politykę podziału w porozumieniu z Rosją.

Nie mamy wiele czasu przed sobą. Jeżeli bowiem pozycja Rosji będzie słabnąć – jeżeli doszłoby do zaostrzenia konfliktu rosyjsko-chińskiego, jeżeli inicjatywę Moskwy zorganizowania europejskiej konferencji bezpieczeństwa spalą na panewce – wszystko to przyspieszy porozumienie rosyjsko-niemieckie wraz z jego konsekwencjami.

Rosja dążyć będzie do „odprężenia” w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi w nadziei, że na tej drodze sparaliżuje wpływy tych polityków w Ameryce, którzy proponują zbliżenie pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Polityka „odprężenia” grałaby na korzyść Niemiec, ponieważ załatwienie „kwestii niemieckiej” jest jedynym warunkiem wysuwany pod adresem Moskwy przez Zachód. Istnieje „kwestia niemiecka” – lecz nie istnieje „kwestia polska” czy „kwestia czechosłowacka”.

PRL nie jest na pewno finalnym kształtem Polski. Lecz nie wiemy, czy alternatywą PRL będzie Polska wolna i niepodległa. Jeżeli Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy w bliskiej przyszłości nie zdobędą się na przemysłany i odważny wysiłek wydobywania się z potrzasku – jeszcze

za naszego życia doczekamy się porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Wówczas losy wschodniej Europy będą przypieczętowane na bardzo długo.

* * *

Rosjanie wystąpili z całą brutalnością przeciwko reformacji czechosłowackiej, lecz nacjonal-komunizm PRL w pełni aprobuje. Nacjonal-komunizm z jednej strony daje upust dynamice narodowej – z drugiej strony wyłącza scalenie. Nacjonalizm dzieli, a nie łączy. Z tych przyczyn sądzę, że Rosjanie będą popierali nacjonal-komunizm w Europie Wschodniej. Antysemityzm, totalizm o charakterze „narodowo-endeckim”, pseudomocarstwowość, front narodowy jako nowa forma „OZON-u” – wszystko to stanowi realizację marzeń polskiej reakcji. Klaudiusz Hrabek miał rację, twierdząc, że komuniści robią dziś „naszą” politykę. Ideowych komunistów jest coraz mniej, ale na reakcjonistów można liczyć zawsze. Z rosyjskiego imperialnego punktu widzenia wszystko, co dzieli, jest dobre – wszystko, co łączy, jest złe. Nacjonal-komunizm jest groźny w Chinach, lecz nie w Polsce czy w Rumunii.

Na emigracji większość moich rówieśników mniema, że kiedyś naród powstanie przeciwko najeźdźcy. Komuniści, nacjonal-komuniści, byli endecy, antysemita, i masy polskich nacjonalistów bez politycznego wyznacznika, z obecnego stanu rzeczy w Polsce są w większej lub w mniejszej mierze zadowoleni. Niezadowoleni są tylko aktywni i potencjalni rewolucjoniści – oraz większość proletariatu robotniczego.

Komunizm w krajach, którym brak głębszej tradycji demokratycznej, ewoluuje w kierunku narodowego, totalnego „socjalizmu”, czyli faszyzmu. Stawka na antykomunistyczną kontrrewolucję straciła wszelki sens, ponieważ kontrrewolucja jest w toku. W Czechosłowacji – która posiada tradycje demokratyczne – komunizm ewoluował w kierunku socjalizmu demokratycznego. Ten proces został zdławiony kontrrewolucyjnymi siłami Breżniewa–Ulbrichta–Gomułki.

Stalinowców w Rosji czy w Polsce łączy z nacjonalistami wspólna postawa totalistyczna i wspólna nienawiść do demokratycznego socjalizmu.

Polityka niepodległościowa polska, czechosłowacka czy węgierska może być tylko socjalistyczna, ponieważ tylko socjalizm stanowi antytezę zarówno komunizmu, jak i nacjonalizmu względnie stalinizmu, który stanowi zlepek komunizmu z nacjonalizmem.

Jednym z największych atutów komunistów w Polsce jest fakt, że bardzo znaczny procent Polaków w Kraju i na emigracji uważa

socjalizm za kuzyna komunizmu. Działa w tym wypadku zarówno rodzima ciemnota, jak i koncepcje tzw. frontów ludowych. Trzeba jednak pamiętać, że poprzez fronty ludowe komuniści nigdzie w Europie Zachodniej nie zdobyli władzy – natomiast poprzez sojusz z nacjonalistyczną reakcją w Polsce utrzymują się przy władzy. Nie socjaliści popierają „zmoczarowany gomułkizm”, lecz ową rodzimą formę faszyzmu popierają paxowcy, eksendecy i hurranacjoniści.

W warunkach polskich nie można być antykomunistą i antysocjalistą równocześnie. Kto jest antysocjalistą – czy chce, czy nie chce – jest de facto sojusznikiem komunistów, którzy socjalistów demokratycznych uważają słusznie za swoich głównych wrogów.

Wydaje mi się, że istnieje przed nami tylko jedno wyjście. Antystalinowcy – tak w partii, jak i poza partią – winni szukać platformy wspólnego porozumienia. Jeżeli antystalinowskie podziemie działa aktywnie w Sowietach – dlaczego nie miałoby działać w Polsce? Jeżeli w Sowietach krążą podziemnie książki, manuskrypty, manifesty, listy otwarte – dlaczego w Polsce Ludowej miałoby to być niemożliwe? Trzeba jeszcze dodać, że podziemie antystalinowskie w Sowietach jest całkowicie izolowane. Nie byłoby izolowane, gdyby w Polsce i w Czechosłowacji doszli do władzy zwolennicy komunizmu z ludzką twarzą.

Jestem przeciwnikiem wszelkiej spontaniczności w polityce. Musi się działać planowo w ramach konkretnej koncepcji,

Zarówno komunizm włoski, jak i jugosłowiański określić można mianem komunizmu z ludzkim obliczem. Ewolucja, która dokonała się w Jugosławii, jest szczególnie godna podkreślenia, ponieważ – w przeciwieństwie do Włoch – komuniści są partią rządzącą w Jugosławii.

Reformacja czeska była próbą zorganizowania modelu komunistycznego z ludzkim obliczem w sferze wpływów Sowietów. Jedną z przyczyn upadku reformacji czechosłowackiej była jej całkowita izolacja. Koncepcja była słuszna, lecz uznać należy za pewnik, że żadne państwo satelickie w Europie Wschodniej nie może zapewnić sukcesu ewolucji, rewolucji czy powstaniu – w izolacji.

Polska i Czechosłowacja nie mają powodu budować identycznych ustrojów socjalistycznych. Pomiedzy włoskim a jugosłowiańskim komunizmem istnieją poważne różnice. Lecz obie partie łączy antystalinowska postawa, co powoduje, że tak włoscy, jak i jugosłowiańscy komuniści odrzucają doktrynę Breżniewa.

Polscy i czechosłowaccy antystalinowcy winni szukać porozumienia tylko w najszerszej, lecz i zasadniczej płaszczyźnie. Istotny jest tylko jeden punkt, tzn. odrzucenie stalinizmu (totalizmu) i zaangażowanie się po stronie komunizmu z ludzkim obliczem.

Różnorodność jest do osiągnięcia tylko poprzez jedność. Inaczej mówiąc, Polacy i Czechosłowacy będą mogli realizować i obronić swoje indywidualne modele socjalizmu wówczas – gdy w podstawowych punktach będą zgodni i gotowi do solidarnej akcji.

Reformacja czechosłowacka była dziełem ewolucjonistów, a nie rewolucjonistów. Osobiście jestem ewolucjonistą, lecz nie typu czechosłowackiego. Ewolucjoniści muszą być przygotowani do demonstracji siły – muszą być gotowi do przedzierzgnięcia się w rewolucjonistów, jeżeli sytuacja tego wymaga. Ewolucja i rewolucja – jak podkreślałem to wielokrotnie – nie są celami same w sobie, tylko metodami działania. Liczy się nie metoda, lecz realizacja programu. Ewolucjoniści, którzy z góry rezygnują z użycia siły, bez względu na układ sytuacyjny – rezygnują w rzeczywistości z realizacji swojego programu na drodze pokojowej. Stalinowcy bowiem mogą zrezygnować z użycia siły przeciwko postępowcom i reformatorom tylko wówczas, gdy przywódcy w Moskwie będą pewni, że odpowiedzią na siłę będzie siła.

Gdyby w Polsce i w Czechosłowacji zwyciężył z czasem komunizm z ludzką twarzą – powstałby potężny blok „komunizmu otwartego”, który obejmowałby komunistów polskich, czechosłowackich, jugosłowiańskich, włoskich, brytyjskich i – nie wątpię – francuskich. Wówczas antystalinowskie podziemie w Związku Sowieckim mogłoby podnieść głowę.

Program piękny – zauważy w tym miejscu Czytelnik krajowy – ale „czym to się je”, jak to się robi?

Przemian społecznych, przebudowy ustroju, jeśli trzeba – rewolucji – nie robią „inni” ludzie, tylko Ty, Czytelniku. W Polsce nie będzie nigdy demokracji, dopóki Ty, Czytelniku, nie uświadomisz sobie w pełni, że demokracja zaczyna się od Ciebie i walka o nią, a następnie jej obrona, nie jest zadaniem „innych ludzi”, tylko Twoim. Ustroju demokratycznego nigdzie nie budowano inaczej i innej drogi do demokracji nie ma.

Polska Westpolitik

„Amerykanie nie potrzebują Rosji dla celów gospodarczych. Nawet trudna do osiągnięcia wymiana z Sowietami wartości pięciu miliardów dolarów rocznie to jest mucha w ogólnym bilansie amerykańskim. Amerykanie potrzebują – i tu jest cały paradoks – pomocy Rosji w pomyślniej likwidacji swojej hegemonii światowej”.

To jest opinia Wojciecha Wasiutyńskiego, który od szeregu lat przebywa w Stanach Zjednoczonych i na pewno lepiej jest zorientowany w polityce amerykańskiej niż emigracyjni publicyści, którzy od 30 lat nie opuścili Londynu.

Musimy wyzbyc się schizofrenicznego stosunku do Stanów Zjednoczonych. Ameryka nie jest i nigdy nie będzie mocarstwem, jakie wyśnili sobie Polacy. Odmowa z naszej strony uznania Ameryki za taką, jaką ona istotnie jest, uniemożliwia nam realizowanie tych niewielkich wpływów, jakie w Stanach Zjednoczonych posiadamy.

Propaganda na dalszą metę ogłupia tych, którzy ją głoszą, a nie tych, przeciwko którym jest wymierzona. W okresie zimnej wojny tak uporczywie i tak długo głosiliśmy całkowitą zbieżność polskich i amerykańskich interesów, że dziś dosłownie fałszujemy rzeczywistość, by pokrywała się z założeniami przestarzałej propagandy.

W opinii komentatorów londyńskiej prasy emigracyjnej polityka Nixona w stosunku do Sowietów jest manewrem taktycznym czy pozorem, który przysłania wręcz odmienne zamiary Stanów Zjednoczonych.

Senior publicystów emigracyjnych wyraził opinię, że skandal Watergate jest rozdmuchany przez propagandę komunistyczną. Faktem natomiast jest, że prasa sowiecka wysunęła tezę, że afera Watergate jest rozdmuchiwana przez reakcjonistów, przeciwnych polityce odprężenia zainicjowanej przez Nixona i Breżniewa.

Ale zawsze tak było. Lechoń w swym ostatnio wydanym tomie *Dzienników* pieje peany na cześć Eisenhowera i wierzy, że wszystko ulegnie zmianie na lepsze z chwilą, gdy generał, republikanin i prawicowiec osiadł w Białym Domu.

Eisenhower grał w golfa, gdy Budapeszt dogorywał. Podobnie sylwetka Nixona w prasie emigracyjnej to nie jest żywy człowiek i polityk, tylko kukła nafaszerowana polskimi pobożnymi życzeniami.

Podstawowym elementem wszelkiej polityki jest prawidłowe rozpoznanie. Trzeba umieć prawidłowo rozpoznać zarówno wroga, jak i sojusznika. Fałszywe rozpoznanie sojusznika może być równie katastrofalne w skutkach jak fałszywe rozpoznanie wroga.

U nas niestety analizę i rozpoznanie zastępuje tradycyjne trzymanie się „pańskiej klamki”. Wielu Polaków na emigracji wykazuje identyczną lojalność w stosunku do Nixona, jak Gierek i jego prasa w stosunku do Breżniewa. Tak jak wszelka krytyka reżymu Gierka uważana jest przez prasę krajową za kapitalistyczną dywersję ideologiczną – tak u nas na emigracji wszelka krytyka Nixona uważana jest za dzieło inspiracji komunistycznej.

Sprawę komplikuje fakt, że znani mi Polacy, którzy bywają w PRL i ogłaszają w periodykach zachodnich artykuły – często chwalone przez reżymową prasę – twierdzą, że działają z pełnym poparciem Amerykanów.

Mamy przeto dwa skrajne, a nawet sprzeczne odłamy emigracyjnego filoamerykanizmu. Przynależni do pierwszego obozu głoszą, że Watergate jest rozdęta przez liberałów i komunistów, by szkodzić Nixonowi. Odprężenie i zbliżenie sowiecko-amerykańskie jest pozorem. W rzeczywistości Nixon i cała Ameryka dyszą tą samą nienawiścią do Sowietów jak w szczytowym okresie zimnej wojny. Mobilizacja wszystkich antykomunistycznych sił świata tak jak dawniej jest naczelnym celem polityki amerykańskiej, której żywym symbolem jest prezydent Nixon.

Do drugiego obozu należą przeważnie Polacy zagraniczni młodego i średniego pokolenia, wykształceni za granicą. Ci panowie odwiedzają Kraj, pisują artykuły w periodykach emigracyjnych i obcych, bywają zauważani, a nawet chwaleni przez prasę reżymową i postępując w ten sposób, sądzą, że realizują amerykańsko-sowiecką politykę odprężenia i koegzystencji.

Nie ulega wątpliwości, że tak profesor Pragier, jak i prof. Bromke są szczerze proamerykańscy – choć filoamerykanizmowi nadają różną treść. Cenię i poważam obu tych panów, nie zgadzam się jednak ani z jednym, ani z drugim. Wydaje mi się, że prof. Pragier i Bromke są

reprezentatywni dla dwóch odłamów proamerykanizmu, o których mówiliśmy powyżej.

W mojej opinii obaj profesorowie wadliwie interpretują kluczowe terminy: „koegzystencja” i „odprężenie”.

W wielkim skrócie można powiedzieć, że prof. Pragier uważa, że koegzystencja i odprężenie pomiędzy Sowietami a Ameryką nie są możliwe i wskutek tego odprężenie i Polsce nie może przynieść żadnych korzyści.

Prof. Bromke sądzi natomiast, że rzecz warta jest próby. Mniema, że jeżeli odprężenie i współpraca sowiecko-amerykańska mimo wszystko przyniesie pozytywne rezultaty – odbije się to korzystnie na Polsce.

Błąd w rozumowaniu obu profesorów polega na tym, że nie ma żadnej analogii ani związku przyczynowego pomiędzy Polską a Ameryką. Wbrew temu, co twierdzi prof. Pragier, odprężenie pomiędzy Ameryką a Sowietami jest możliwe, i wbrew temu, co twierdzi prof. Bromke – odprężenie sowiecko-amerykańskie może pogorszyć, a nie polepszyć sytuację Polski.

Ameryka jest najpotężniejszym supermocarstwem świata i może odprężyć swoje stosunki z Rosją czy z Chinami, ponieważ z zewnątrz Stanom Zjednoczonym nic nie zagraża i de facto nic nie może zagrozić. Gdyby Pekin czy Moskwa targnęły się na Stany Zjednoczone, podpisałyby swą własną metrykę zgonu.

Ceną za odprężenie nie jest również rezygnacja z hegemonii – ponieważ Ameryka nie pragnie hegemonii. Pełnienie roli żandarma świata jest procedurą bardzo kosztowną i kolejne Kongresy nie chcą uchylać odpowiednich kredytów.

Sowiety w przeciągu 20 lat zbudowały drugą z kolei największą flotę wojenną świata. Lecz ani Chruszczow, ani Breżniew nie musieli liczyć się z wolą czy opinią sowieckiego podatnika.

Stany Zjednoczone są uwikłane w różnorodne trudności gospodarcze, które wyrażają się inflacją i wzrastającą drożyzną. Mając do wyboru kosztowną hegemonię światową czy prosperity bez hegemonii – Amerykanie z całą pewnością wybiorą prosperity bez hegemonii.

Jeżeli chodzi o tezę prof. Bromkego, to należy zauważyć, że choćby konferencja w Helsinkach i proponowana przez Sowiety konferencja na szczycie przyniosły nawet jakieś ustępstwa ze strony Moskwy – to cały koncept „odprężeniowy” polityki sowieckiej, wyłożony w dniu 10 lipca br. w Helsinkach przez min. Gromyko, opiera się na uznaniu i zalegalizowaniu przez Zachód status quo w Europie Środkowo-Wschodniej.

W pewnej mierze może wydawać się dziwne, że Sowietom tak niezmiernie zależy na formalnym zalegalizowaniu owego status quo, który w gruncie rzeczy wszyscy biernie i zgodnie uznają. Wszyscy – z wyjątkiem Chin, które nie uznają granicy na Odrze i Nysie, tudzież zaboru Lwowa i Wilna. Nie uznają również wcielenia do Związku Sowieckiego państw bałtyckich. Innymi słowy, Chiny nie uznają ani sowieckiej sfery wpływów w Europie, ani nawet nie uznają powojennych granic samego Związku Sowieckiego.

Moskwa pragnie przeto formalnego uznania status quo w Europie przez mocarstwa zachodnie – ponieważ nie może liczyć na uznanie swych pojałtańskich zdobyczy przez Chiny, które są również jak najdalej od likwidowania zimnej wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu. (Leży przede mną broszura wydana niedawno w Pekinie pod wymownym tytułem: *Down with the new Tsars*).

Lecz stosunki sowiecko-chińskie, choć bezpośrednio związane z sytuacją europejską, nie są tematem niniejszych rozważań.

Pragnąc wyprostować nasz stosunek do Zachodu, powinniśmy zacząć od wytępienia kompleksu trzymania się pańskiej klamki. Na czym ów kompleks polega? Weźmy przykład. W czasie ostatniej wizyty Breżniewa w Waszyngtonie była tylko jedna antysowiecka demonstracja. Na ulicach stolicy Stanów Zjednoczonych demonstrowali pokojowo, choć wyraziście Żydzi. Wydawałoby się, że Polacy mają niepomiernie więcej powodów do demonstrowania przeciwko Sowietom niż Żydzi. Polska, a nie Izrael jest satelitą Sowietów. Czy cytowana demonstracja dowodzi, że Żydzi są mniej proamerykańscy niż Polacy? Na pewno nie. Żydzi są proamerykańscy, ponieważ Stany Zjednoczone są Izraelowi bardzo potrzebne.

Polacy i Żydzi są proamerykańscy i tak jedni, jak i drudzy są antysowieccy. Demonstrowali natomiast tylko Żydzi, ponieważ Polakom uniemożliwił demonstrowanie kompleks pańskiej klamki. Demonstracji nie życzył sobie prez. Nixon, a któż by chciał się narazić prezydentowi? „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i przy Tobie Najjaśniejszy Panie stać pragniemy”. Polacy w znacznym odłamie są tradycyjnymi lojalistami i wierzą, że tylko na tej drodze można coś osiągnąć. Na skutek braku tradycji demokratycznej nie rozumieją, że można być szczerze i gorąco proamerykańskim i równocześnie demonstrować przeciwko *Ostpolitik* prezydenta Nixona. Polacy przywykli wierzyć, że pensje, emerytury, stanowiska uniwersyteckie zależne są od łaski rządu i prezydenta i boją się, że – choćby najbardziej pokojowa i cywilizowana – demonstracja przeciwko oficjalnej polityce mogłaby ich pozbawić dachu nad głową i środków utrzymania.

Lojaliści w Polsce Ludowej mają podstawy do tego typu przekonań – lecz w demokratycznej Ameryce lojalistyczna filozofia jest zupełnie nie na miejscu.

Ów kompleks trzymania się pańskiej klamki i wierność feudalnie pojmomowanemu lojalizmowi – stwarzają również wymarzony klimat dla działalności reżymowej. Jeżeli prezydent przyjmuje kordialnie Breżniewa, jeżeli prezydent odwiedza Gierka w Warszawie – to demonstrowaniem krytycznej postawy wobec „odprężenia” można by się narazić na zarzut antylojalności. A przecież od przynależności do waszyngtońskiego BBWR – zależą (w opinii polskich przybyszów) posady, emerytury i stanowiska.

Przykłady, przykłady! – Zawoła w tym miejscu Czytelnik. Prezentuję poniżej przykłady klasyczne. W uroczystości podpisania w Departamencie Stanu w Waszyngtonie umów pomiędzy Polską Ludową a USA – wzięło udział dwóch wysokich przedstawicieli Kongresu Polonii. Swoją obecnością owi polscy dygnitarze afirmowali legalizm reżymu warszawskiego w myśl lojalistycznej zasady, że skoro rząd amerykański uznaje reżym warszawski za legalny rząd polski – nie ma powodu, by Polacy amerykańscy myśleli inaczej.

W Waszyngtonie pod patronatem Kongresu Polonii Amerykańskiej odbyły się uroczystości związane z 500-leciem urodzin Kopernika. W uroczystościach wzięły udział wszystkie polskie organizacje, nie wyłączając SPK. Lecz obok Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w budującej manifestacji wzięły udział również reżymowe placówki LOT i Cepelia. Mało tego – główną wygraną na loterii fantowej był darmowy bilet reżymowych linii lotniczych na trasie Waszyngton–Warszawa.

A naiwna emigracyjna prasa londyńska uporczywie głosi, że Nixowska doktryna „odprężenia” jest złudzeniem.

Nasz stosunek do tzw. Zachodu jest zdumiewający. Do Anglików czy Francuzów odnosimy się z pobłażliwym lekceważeniem, a na łamach prasy emigracyjnej pełno jest artykułów, które opiewają upadek i dekadencję europejskiego Zachodu. Nawet publicyści, którzy kiedyś związani byli z socjalizmem – w działalności brytyjskich związków zawodowych nie mogą dopatrzeć się niczego innego poza „machinacjami komunistów”.

Stuprocentowym poparciem Polaków zagranicznych cieszy się natomiast prezydent Nixon, który z przywódców zachodniego świata – zbliża się najbardziej do ogólnie polskiego ideału antyliberalnego, prawicowego „męża opatrnościowego”.

Brytyjski premier Edward Heath – choć konserwatysta – jest zbyt liberalny, zbyt postępowy, zbyt „socjalistyczny” i będąc rzetelnym

demokratą, w niczym nie przypomina męża „silnej ręki” z polskiej legendy.

Niestety – jak z patosem stwierdził jeden z czołowych publicystów londyńskiego „Dziennika Polskiego” – liberałowie aferą Watergate zadali Nixonowi cios w plecy.

Skandal Watergate jest mieszaniną plotek, zeznań i kontrzeznań. Jedno jest jednak pewne: sprawcami Watergate byli republikanie. Jak więc mogli republikanie zadać sami sobie cios w plecy – pozostaje tajemnicą londyńskiego „Dziennika Polskiego”.

Oczywiście BBWR nie organizowało nigdy „cudów nad urną” i podobnie partia republikańska jako kapitalistyczna i prawicowa – z definicji jest bez zmały i skazy. Wszystkiemu winni są liberałowie, którzy w 80% są kryptokomunistami.

Lecz w tym szczególnym wypadku nie chodzi mi o poglądy polityczne starszego pokolenia na emigracji. Chodzi mi o ów kompleks „pańskiej klamki”, który często paraliżuje akcję polityczną emigracji.

Przeżywamy epokę masowych strajków, masowych pochodów, masowych protestów. Następującą sprawę trzeba wyjaśnić całkowicie i bez reszty. Na emigracji panuje przekonanie, że protestami niczego nie można osiągnąć. To jest częściowo prawda. Protesty Żydów w związku z „podatkiem emigracyjnym” przyniosły częściowy rezultat, lecz niewątpliwie to jest raczej wyjątek niż reguła. Lecz brak protestu – nawet takiego, który z góry skazany jest na niepowodzenie – odczytywany jest przez opinię międzynarodową jako zrezygnowana zgoda na status quo.

W pierwszych dniach lipca br., w czasie konferencji ministrów spraw zagranicznych – na ulicach Helsinek protestowali Litwini, Łotysze i Estończycy przeważnie z amerykańskimi paszportami. Korespondent „The Guardian” zauważył, że Polacy nie protestowali.

Musimy zrozumieć i pamiętać, że brak protestu jest również aktem politycznym o negatywnym znaczeniu.

Gdyby Polacy złożyli w sekretariacie konferencji w Helsinkach protest w czterech potężnych skrzyniach, zawierający podpisy pół miliona Polaków zagranicznych – tego typu potężny gest nie osiągnąłby niczego w wymiarze praktyki na dzisiaj, lecz stałby się polityczną sensacją światową i prasową. Musimy również pamiętać, że czego nie ma na ekranie telewizyjnym i na łamach dzienników – to nie istnieje.

Protest tego typu uprzytomniłby 33 ministrom i państwom przez nich reprezentowanym, że Polacy zagraniczni pojmują na serio słowa: „jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy”.

Lecz kto ma organizować protesty i akcje polityczne? Oczywiście nie ci, którzy trzymają się kurczowo nixonowskiej klamki, tj. członkowie waszyngtońskiego i nowojorskiego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem amerykańskim.

Nie jest winą Amerykanów, że ich kraj leży na drugiej półkuli i interesy Polski nie zawsze pokrywają się z interesami Stanów Zjednoczonych. Natomiast jest wielkim błędem mniemać, że można sobie zjednać Amerykanów, popierając ich politykę nawet wówczas, gdy jest wyraźnie sprzeczna z polską polityką niepodległościową.

Stany Zjednoczone mogą „odprężyć” stosunki z Sowietami, ponieważ są najpotężniejszym supermocarstwem świata. Natomiast emigracja polityczna, szukając „odprężenia” czy współpracy z reżymami komunistycznymi – złamałaby niepisaną umowę, zawartą pomiędzy nami a państwami, które udzielają nam gościny. Anglicy przyznali prawo stałego pobytu tym żołnierzom Drugiego Korpusu, którzy odmówili uznania reżymu komunistycznego w Polsce. Sprawa była postawiona jasno i bez niedomówień. To jest punkt ważny, ponieważ dotyczy uznania nas przez rząd brytyjski za emigrację polityczną. Wiem pozytywnie, że rząd brytyjski oczekuje od każdego z nas postawy antykomunistycznej, ponieważ jako antykomunistom udzielono nam prawa pobytu i uznano nas za emigrację polityczną.

Rząd brytyjski może w danym okresie prowadzić w stosunku do bloku sowieckiego taką czy inną politykę. Lecz to w niczym nie zmienia charakteru polskiej emigracji. Nawet w okresie największego „odprężenia” – gdybyśmy zaczęli współpracować z instytucjami reżymowymi, gdybyśmy organizowali obchody i akademie pod hasłem Emigracja-Cepelia – Anglicy bardzo szybko powiedzieliby nam, że zerwaliśmy jednostronnie porozumienie, które gwarantowało nam prawo pobytu na tych Wyspach. I mieliby stuprocentową rację. Polak, który uznaje rząd PRL i kuma się z reżymowymi ekspozyturami za granicą – nie ma prawa do statusu emigranta politycznego i związanego z owym statusem prawa stałego pobytu w Anglii. To samo dotyczy emigrantów, którzy przyjęli obce obywatelstwo. Emigrant de facto nigdy nie przestaje być emigrantem, ponieważ w przeciwieństwie do obywatelstwa z tytułu urodzenia – obywatelstwo nabyte przez naturalizację może być sądownie unieważnione, a eksnaturalizowany obywatel skazany na deportację.

Piszę to wszystko, by wyprowadzić z błędu tych Polaków – obywateli brytyjskich, kanadyjskich czy amerykańskich – którzy wyobrażają sobie, że ich „powołaniem” jest czynnie współpracować w polityce „odprężenia” zainicjowanej przez Nixona i Breżniewa.

Każdy Polak, bez względu na to, czy przyjął obce obywatelstwo, czy go nie przyjął, stanowi potencjalny *security risk* – ponieważ Polska nie jest członkiem NATO, tylko członkiem Paktu Warszawskiego. Nam, starym żołnierzom, może się to wydawać tragiczno-komiczne – niemniej faktem jest, że pomiędzy zachodnim Niemcem a Polakiem, którzy mieszkają w Londynie czy w Nowym Jorku zachodzi zasadnicza różnica. Niemiec jest dzisiaj cudzoziemcem *of allied nationality* (sojuszniczej narodowości), tak jak my byliśmy w okresie drugiej wojny światowej. Natomiast Polak nie jest dziś *of allied nationality* – ponieważ Polska należy do potencjalnie wrogiego zgrupowania państw.

Polacy o tym nie myślą, lecz władze brytyjskie i amerykańskie – a zwłaszcza departamenty rządowe odpowiedzialne za bezpieczeństwo – nigdy tych faktów nie tracą z oczu. Dlatego nawet młodym Polakom urodzonym w Anglii często trudno jest zdobyć stanowisko, które wymaga wysokiego stopnia *security clearance*.

W sumie należy stwierdzić, co następuje. Każdy Polak może wrócić do Kraju i przyjąć obywatelstwo PRL. Natomiast ci emigranci, z obcymi paszportami czy bez, którzy szukają bezpośrednio kontaktów z placówkami reżymowymi, jeżeli wyobrażają sobie, że wprowadzają w czyn politykę „odprężenia” i wobec tego liczyć mogą na zaufanie i poparcie rządów krajów osiedlenia – popełniają podstawowy błąd. W czasie wojny czy poważnego kryzysu ci panowie znajdą się pierwsi na liście tych cudzoziemców czy obywateli obcego pochodzenia, których jako *enemy aliens* należy izolować i kontrolować.

W czasie wojny pracowałem w Afryce w jednej z placówek ówczesnego Brytyjskiego Ministerstwa Informacji i miałem możliwość zaobserwowania z bliska tych spraw. Wszystkie artykuły z prasy Drugiego Korpusu były tłumaczone na język angielski. Mam podstawy do przypuszczenia, że dzieje się podobnie i dziś. Emigracje zza żelaznej kurtyny są zbyt liczne i politycznie zbyt „sensacyjne” – by można było nimi się nie interesować.

Jeszcze raz powtarzam, każdy Polak w Anglii czy w Kanadzie jest potencjalnym *security risk*. Polak, który utrzymuje stosunki z instytucjami reżymowymi, jeździ do Warszawy, gdzie jego kontakty trudno sprawdzić – jest oczywiście jeszcze większym *security risk*, ponieważ – chociaż wiadomo jaki pojechał, nigdy nie wiadomo, jaki wrócił.

Dla ludzi, którzy przeżyli drugą wojnę światową w czynnej służbie, jest wręcz żenujące o tym pisać, ponieważ to jest abecadło zachowania się w stosunku do potencjalnego wroga. Poświęciłem tej sprawie sporo miejsca, ponieważ wydaje mi się, że Polacy średniego i młodego pokolenia, którzy w wojnie nie brali czynnego udziału – lekceważą

wyżej cytowane „abecadło” i nie pamiętają, że – odprężenie czy nieodprężenie – w kancelariach rządowych Londynu, Paryża czy Waszyngtonu przez „potencjalne wrogie mocarstwo” (*potential enemy power*) rozumie się zawsze i bez wyjątku Sowiety i ich sojuszników. Dlatego „abecadło” w pełni obowiązuje i tych, którzy o tym nie pamiętają, spotkać może przykra niespodzianka.

* * *

Przed wojną nigdy nie myślałem, że mieszkam w Europie Wschodniej. Wawel, Kościół Mariacki z ołtarzem Wita Stwosza, a przede wszystkim rynek krakowski – to wszystko miało tyle wspólnego ze Wschodem, co stara Norymberga. Gdy wyjeżdżałem do Wiednia, Paryża czy Berlina – ani nie myślałem, ani nie mówiłem, że wyjeżdżam na Zachód. Wyjeżdżałem zwyczajnie za granicę.

Gdyby przed wojną zaliczył ktoś Drezno do miast wschodnio-europejskich – przyjęto by taką geograficzną klasyfikację wybuchem śmiechu.

Wschodem była zawsze Rosja. Tam gdzie sięgało panowanie rosyjskie czy sowieckie, zaczynał się Wschód.

Pod koniec drugiej wojny światowej zaczęliśmy mówić i pisać o „zdradzie Zachodu”. Polskę arbitralnie włączono do Wschodu – co wydawało się nam nie tylko katastrofą, lecz absurdem. To tak, jakby ktoś na mocy takiego czy innego traktatu Kraków włączył do Kanady.

Jeżeli ktoś z przedwojennego Krakowa wyjeżdżał na Polesie – a bywali i tacy ekscentrycy – nikt nie mówił, że ci odważni krakowianie wyjeżdżają na wschód. Mówiło się, że wyjeżdżają na kresy.

Gdy po wielotygodniowym pobycie za granicą wracałem do Krakowa – nigdy nie odnosiłem wrażenia, że z jednej części Europy przybyłem do innej, odrębnej części Europy. W Wiedniu mówiło się po niemiecku – lecz kto w Krakowie nie mówił po niemiecku? W Wiedniu było trochę inaczej, lecz nie było obco.

Nigdy nie mieszkalem w Warszawie. Przyjeżdżałem do stolicy na kilka dni, a czasem tylko na kilkanaście godzin.

Warszawa robiła na mnie wrażenie miasta kresowego. Nie Lwów, który był „austriacki” jak Pan Bóg przykazał – tylko Warszawa. W stolicy bliskość Wschodu była wyczuwalna i obecna.

Zachód zdradził nas we wrześniu 1939 roku. Jałta była konsekwencją tej zdrady. Drugą wojnę światową można było wygrać w latach 1939–40 i gdyby Niemcy zostali pobici bez udziału Rosji – do Jałty oczywiście by nie doszło.

Naukę, jaką należy wysnuć tak z września 39, jak i z Jałty – ująć trzeba następująco. Dalekimi sojuszami na Zachodzie nie można zastąpić porozumienia z naszymi sąsiadami na Wschodzie. Wyrównanie stosunków z Ukraińcami, z Białorusinami, z Litwinami i w dalszej perspektywie z nieimperialistyczną Rosją – stanowi podstawowy warunek odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski. Przyjaźń z mocarstwami zachodnimi – choć cenna i potrzebna – nie zastąpi programu wschodniego.

Gdy się ma fałszywe marzenia, „ginie się zdradą marzeń” – by użyć słów Słowackiego. Zachodni mit emigracyjny zakłada, że kiedyś Waszyngton się przebudzi i Stany Zjednoczone wraz ze zjednoczoną Europą Zachodnią – w jakiś sposób odepchną Rosję. Jak w każdym micie, tak i w tym szczegółów są nieważne – istotne jest tylko końcowe spełnienie. Poprzez klęskę Rosji zostaną wymazane i naprawione krzywdy września i Jałty. Polska niepodległa z Wilnem i Lwowem wejdzie do powiększonej, zjednoczonej EWG – a na naszych wschodnich granicach stać będą na straży polskie dywizje wyposażone w broń amerykańską. Tak oto ziści się mit emigracyjny: Polska wróci na Zachód.

Ów fałszywy mit powoduje, że Stany Zjednoczone i mocarstwa zachodnie uważamy za sojuszników – z czego płynie kompleks „pańskiej klamki”, omówiony w pierwszej części tego artykułu.

Nie pamiętamy natomiast, że ewentualny rozpad imperium sowieckiego stworzy koniunkturę nie tylko dla Polski i narodów cięmiężonych przez Rosję, lecz również rozwiąże problem Niemiec. Na kontynencie europejskim pojawi się nagle nowe supermocarstwo: zjednoczone Niemcy.

Jeżeli pozostaniemy wierni mitowi emigracyjnemu, znajdziemy się w chwili wymodlonej koniunktury – pomiędzy wrogo do nas nastawionymi narodami Wschodu Europy a rewizjonistycznymi, supermocarstwowymi Niemcami. W takiej sytuacji nie znajdziemy na Zachodzie poparcia dla naszych roszczeń w stosunku do Lwowa i Wilna, natomiast Niemcy, sojusznik mocarstw zachodnich, znajdą poparcie dla swoich roszczeń w stosunku do polskich Ziemi Zachodnich.

Nie możemy sterować ku klasycznej rozbiorowej sytuacji – to znaczy nie możemy być na noże zarówno ze Wschodem, jak i Zachodem reprezentowanym przez Niemców.

Musimy wybrać pomiędzy Wschodem a Zachodem – przy czym wybór w obu wypadkach oznacza z naszej strony znaczne ustępstwa. Jeszcze raz podkreślam, że nowa sytuacja, która umożliwi Polsce

odzyskanie niepodległości – automatycznie umożliwi Niemcom zjednoczenie obu państw niemieckich.

Jeżeli nie wyrównamy stosunków z Ukraińcami, jeżeli wysuwać będziemy pretensje rewindykacyjne w stosunku do Lwowa – Ukraińcy szukać będą poparcia Niemiec. Musimy z długiej ręki rozbroić potencjalną orientację proniemiecką Ukraińców. Niepodległa Ukraina, gdyby miała powstać pod egidą Niemiec – stanowiłaby nie polepszenie, lecz pogorszenie położenia Polski. W ten sposób problem ukraiński w perspektywie polskiej zahacza zarówno o wschodni, jak i zachodni program naszej polityki.

Nie możemy operować problemem ukraińskim jako instrumentem szantażu w stosunku do Rosji. Nie możemy – w danej sytuacji – grozić Rosjanom, że jeżeli z nami się nie ugodzą, to my ugodzimy się z Ukraińcami przeciwko nim. Tego rodzaju szantaż zakłada bowiem gotowość z naszej strony porzucenia problemu ukraińskiego za cenę uzyskania porozumienia z Rosją.

Jeżeli chodzi o Niemcy – stwierdzając, że uznajemy obecną granicę wschodnią Polski za ostateczną, czynimy potencjalną ukraińską orientację proniemiecką bezprzedmiotową.

Tylko tak sformułowana polska polityka ukraińska może zapewnić życzliwe nastawienie przyszłej niepodległej Ukrainy w stosunku do Polski.

Niniejszy artykuł, jak tytuł wskazuje – poświęcony jest polskiej polityce zachodniej w jej podstawowych założeniach. Na skutek położenia geograficznego nasz program zachodni uzależniony jest od programu wschodniego.

Celem tych rozważań jest uświadomienie Czytelnikowi faktu, że koniunktura historyczna, na którą czekamy, niczym nie będzie przypominała sytuacji z 1918 roku – mimo że i tym razem jej nieodzownym składnikiem musi być upadek imperium rosyjskiego w jego obecnej postaci.

W nawiasach dodam, że podzielam pogląd „The Economist”, że Rosjanie będą musieli zdecydować się w stosunkowo niedalekiej przyszłości na wojnę prewencyjną przeciwko Chinom lub z tej wojny zrezygnować raz na zawsze. W obrębie dekady Chiny będą posiadały potencjał nuklearny zdolny do odwetu, którego nie będzie można zniszczyć jednym atakiem prewencyjnym. Za kilka lat – gdy Chiny zdobędą zdolność odwetu – wojna nie mogłaby już mieć charakteru prewencyjnego, tylko od początku byłaby wojną atomową rosyjsko-chińską. Innymi słowy: jeżeli Rosjanie pragną uchronić swoje miasta przed widmem Hiroszimy, a równocześnie „odatomizować”

Chiny – muszą wojnę prewencyjną podjąć w obrębie kilku najbliższych lat.

Szczegółową analizą powyższego tematu zajmę się w jednym z moich „chińskich” artykułów. W tym miejscu wystarczy stwierdzić, że „wielka stabilizacja”, o której mówią panowie Breżniew i Nixon – jeżeli chodzi o Rosję, dość szybko może się skończyć. Prezydent USA może zachować balans pomiędzy Pekinem a Moskwą – może rozmawiać i handlować tak z Sowietami, jak z Chinami. Breżniew nie ma tych możliwości, a tym samym nie ma możliwości ustabilizowania sytuacji Sowietów. Polityka nie znosi nieustabilizowanych sytuacji i dlatego „niestabilność” stanowi zawsze prolog do tzw. wielkich wydarzeń.

* * *

Anglicy, Francuzi, Amerykanie powitaliby życzliwie demokratyczny rząd w Warszawie. Nie oznacza to, że możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Zachodu. Francuzi i Anglicy z całą pewnością nie życzą sobie zjednoczenia Niemiec. Lecz dla mocarstw zachodnich problem Niemiec jest czymś innym niż dla nas. Niemcy nawet zjednoczone nie będą wysuwać pretensji terytorialnych pod adresem Francji.

Na Zachodzie mamy przyjaciół i sympatyków, którzy często wadliwie rozpoznają sprawę polską – nie na skutek złej woli, tylko z braku głębszego zrozumienia. Wielu z nas przyczynia się do owego wadliwego zrozumienia, ponieważ boimy się, by nas nie posądzono o brak realizmu.

Posłużmy się następującym przykładem. Każde leczenie jest programem minimalnym o celu maksymalnym. Jeżeli choremu na tyfus lekarz zdoła obniżyć temperaturę choćby minimalnie, to jest poważny sukces. Niemniej celem procesu leczenia nie jest minimalna poprawa, tylko całkowity powrót do zdrowia pacjenta.

Podobnie witając z zadowoleniem każdą choćby minimalną poprawę sytuacji w Kraju – nie powinniśmy zapominać i nie powinniśmy pozwolić zapominać innym, że nie zrezygnowaliśmy z celu maksymalnego – jakim jest całkowite odzyskanie niepodległości.

Nie ma w tym nic romantycznego, tym mniej, nie ma w tym nic wstydliwego. Anglicy zachowanie niepodległości dla Wielkiej Brytanii uważają za podstawowy i oczywisty realizm i byłoby zdumieni, gdyby ich ktoś posądził o romantyzm. Przystępując do EWG, Anglia zrezygnowała z części swej suwerenności. Lecz suwerenność jest niezbędną choćby dlatego, by móc częściowo z niej zrezygnować. Anglia, rezygnując z odłamka suwerenności, zyskała instytucjonalny

wpływ, tzn. ułamek suwerenności, w Komisji Europejskiej. W rezultacie Wielka Brytania nie zrezygnowała z niczego, tylko zamieniła część suwerennych uprawnień jednego typu na częściową suwerenność innego rodzaju.

Natomiast Polska i inne kraje satelickie utraciły nie część, lecz całość swojej suwerenności, nie zyskując niczego w zamian.

Przypominając nieustannie Zachodowi, że nie zrezygnowaliśmy z naszych celów maksymalnych, nie działamy w sprzeczności z podstawowymi zasadami cywilizacji zachodniej – choć możemy działać w sprzeczności z bieżącą polityką Zachodu dyktowaną wymogami chwili. W zakresie praktycznym liczy się zawsze polityka bieżąca, ponieważ w ramach polityki bieżącej wygrywa się lub przegrywa wybory. Przywrócenie niepodległości krajom satelickim jest propozycją odległą i niewymierną w kategoriach planowania politycznego. Z tej przyczyny Zachód nie narazi nigdy na niepowodzenie swojej polityki bieżącej wysuwaniem postulatów, których realizacja byłaby powitana życzliwie pod warunkiem, że dokonałaby się bez wysiłku i ryzyka ze strony Zachodu.

Jeżeli moje przewidywania okażą się słuszne – imperium sowieckie skazane jest na upadek w każdym wypadku. Gdyby przyjąć fantastyczną supozycję, że Sowiety wchłoną całe Niemcy i wcielą państwa satelickie – Kreml uwielokrotniłby tylko taką polityką swój problem narodowościowy, redukując naród imperialny, tzn. Rosjan, do statusu mniejszości we własnym supermocarstwie. Wyłączając wojnę z Chinami – kto wie czy nie byłaby to najkrótsza droga wiodąca do upadku sowieckiego imperium. I dlatego Rosjanie tego nie robią. Boją się wpływów polskich, polskiej kultury, polskiego katolicko-rzymskiego nacjonalizmu – przemianowanie 33 milionów Polaków na rzeczywistych obywateli sowieckich byłoby szaleństwem. Rosjanie tego nie robią ponieważ politycy sowieccy popełniają błędy, lecz nie popełniają szaleństw.

Moim zamierzeniem było napisać artykuł poświęcony polskiej *Westpolitik*. Lecz w gruncie rzeczy w naszej sytuacji nie można wyodrębnić programu zachodniego. Nasz program zachodni będzie sukcesem tylko wówczas, gdy nasz program wschodni będzie sukcesem. Tylko wtedy gdy po odzyskaniu niepodległości zdołamy ułożyć nasze stosunki z sąsiadami wschodnimi – zdołamy oprzeć się naciskowi zjednoczonych Niemiec. Francja i Anglia nie życzą sobie supermocarstwa niemieckiego w środku Europy – lecz Paryż i Londyn poprą Polskę pod warunkiem, że Polska z ułożoną granicą wschodnią stanowić będzie kartę, na którą warto postawić.

Polsce usiłującej odebrać Ukraińcom Lwów na wschodzie i usiłującej bronić Wrocławia na zachodzie – nikt nie zaoferuje pomocy czy poparcia. Zachód w takiej sytuacji byłby tylko – w imię porządku i pokoju – notariuszem, gotowym do zalegalizowania jeszcze jednej naszej klęski.

[„Kultura” 1973, nr 9/312]

Materiały do refleksji i zadumy

Utracone sprawy – utopie – wizje – gigantomachia – dewolucja

Wszystkie tak zwane *lost causes* – utracone sprawy – są zwykle w oczach pragmatyków utopijne. Historia uczy nas, że wiele utraconych spraw doczekało się realizacji i tym samym utraciło swą utopijność. Historia uczy nas również, że pragmatyzm bywa często realizmem na krótką metę. Czy realizm na krótką metę jest realizmem? Często pragmatyzm, który sugeruje nam krótkotrwałe rozwiązanie danego problemu – utrudnia sformułowanie długofalowego planu, który by obejmował likwidację nie tylko skutków, lecz i przyczyn danej kryzysowej sytuacji.

Weźmy dla przykładu kryzys na Środkowym Wschodzie, który przychodzi, by powtórnie wybuchnąć płomieniem w najmniej przewidywanym momencie. Z chwilą gdy dochodzi do wybuchu – pragmatycznie myślący polityk, jak dr Kissinger, słusznie wnioskuje, że nakazem chwili jest zorganizowanie zawieszenia broni. Wszystko inne przesuwa się na dalszy plan. Pragmatyk Kissinger wsiada w samolot i niezmoderowanie podróżuje pomiędzy Tel Awiwem, Kairem i Damaszkiem, dopóki nie ustali warunków zawieszenia broni. Nadchodzi wreszcie „wielki dzień”, działa milkną, strony walczące wycofują się na ustalone rozejmem pozycje, wszyscy oddychają z ulgą. Krótkoterminowy, pragmatyczny cel został osiągnięty. Oczywiście tam gdzie w grę wchodzi ratowanie życia ludzkiego – owo ratowanie życia tysięcy ludzi jest celem nadrzędnym i osiągnięcie tego celu musi być oceniane za wielki sukces.

Niemniej w dniu, w którym milkną działa i warunki zawieszenia broni zostały podpisane przez obie strony, w perspektywie długofalowej nic nie ulega zmianie. Pragmatyk Kissinger zaangażowany jest problemem dziś, a nie problemami jutra i w chwili gdy toczą się krwawe bitwy – to jest słuszna postawa. Gdy dom płonie, byłoby nonsensem dyskusowanie planów jego przyszłej przebudowy. Oczywiście trzeba skupić wszystkie siły celem jak najszybszego ugaszenia pożaru. Niemniej wadliwy system ogrzewania domu – nieobjęty długofalowym

planem rekonstrukcji – może stanowić groźbę, że pożar się powtórzy. Widzimy więc, że krótkofalowy pragmatyzm często służy tylko do natychmiastowego zażegnania kryzysu, lecz w gruncie rzeczy nie rozwiązuje niczego. Zręczność dyplomatyczna i niezmordowana energia Kissingera mogą w danej sytuacji zażegnać kryzys na Środkowym Wschodzie, lecz dopóki PLO (Palestine Liberation Organization) reprezentuje pogląd, że Izrael musi być zlikwidowany i zastąpiony two-rem państwowym o nazwie Palestyna, w którym Żydzi stanowiliby mniejszość – dopóty dyplomatyczne negocjacje, choćby prowadzone z największą zręcznością, nie mogą przynieść trwałych rezultatów. Nie można bowiem ani wymagać, ani oczekiwać od Izraelczyków, by przyjęli jako punkt wyjściowy negocjacji likwidację własnego państwa. Czy więc Izraelczycy są utopistami, wierząc, że można obronić kilkumilionowy Izrael otoczony stumilionowym morzem arabskim?

Niedawno słuchałem dyskusji na powyższy temat w jednym z programów BBC. W dyskusji brała udział młoda Izraelka osiadła na stałe w Anglii. Zapytana – wypowiedziała z całym spokojem pogląd, że w obrębie 50 lat Izrael przestanie istnieć, a jego miejsce zajmie wielonarodowa i wieloreligijna Palestyna. Swoją opinię oparła na logice „wielkich cyfr”. Za 20 czy 30 lat Arabowie będą częściowo wykształceni i wyszkoleni oraz uzbrojeni w najdroższy i najbardziej nowoczesny sprzęt wojskowy. Bogate państwa arabskie nie są zainteresowane w „westernizacji” czy amerykanizacji swoich społeczeństw. Ich ideałem nie jest również model japoński, tzn. tworzenie bazy przemysłowej, opartej na imporcie głównych surowców. Arabowie zainteresowani są tylko w jednym towarze, który można kupić za pieniądze. Tym towarem jest *power*, to znaczy potencjały siły. Dlatego kupują samoloty, czołgi, sprzęt elektroniczny i zatrudniają setki obcych, doskonale płatnych instruktorów, którzy szkolą kadry instruktorów arabskich, specjalistów w różnych dziedzinach wojskowej technologii.

Jak pamiętamy, dr Kissinger oświadczył, że w rozpaczliwej sytuacji – gdyby producenci ropy naftowej usiłowali „udusić” gospodarki przemysłowych mocarstw Zachodu – Stany Zjednoczone nie cofną się przed użyciem siły, by przywrócić dopływ życiodajnej ropy. Prezydent Ford poparł dr. Kissingera i zażyrował jego oświadczenie o użyciu siły. Równocześnie na ekranach telewizyjnych w Ameryce i w Europie pokazano „inwazyjne” manewry amerykańskich *Marines* i zaprezentowano telewidzom potęgę najnowszego wojennego sprzętu amerykańskiego, który niewątpliwie przedstawia się imponująco.

Oczywiście do żadnej inwazji nie dojdzie, bo w świecie rządzonym przez Kissingera i Breżniewa takie rzeczy się nie dzieją. Dr Kissinger

jest świetnie obeznany z problemem naftowym – lecz nie mniej dokładnie obeznany jest z problemem *détente*, której jest głównym architektem. Niepisana konstytucja *détente* zakłada, że żadne z supermocarstw nie podejmie akcji wojskowej, która w rezultacie przyniosłaby zmianę w globalnej równowadze sił. „Świętą krową” *détente* jest status quo. Gdyby Amerykanie dokonali błyskawicznej inwazji trzech państw arabskich w zatoce Perskiej, których łączna ludność nie przenosi dziesięciu milionów – lecz które produkują 30% ropy naftowej świata – globalny status quo uległby wybitnej zmianie na korzyść Stanów Zjednoczonych.

Rosjanie nie przełknęliby pigułki tej wielkości – natomiast zgodziliby się prawdopodobnie na podział rejonu Zatoki Perskiej i Środkowego Wschodu na strefy wpływów. To byłaby operacja uświęcona tradycją i wypróbowana dokładnie w Europie. W ten sposób nafta byłaby podzielona i zabezpieczona, a *détente* byłaby uratowana.

* * *

Osobiście jestem przekonany, że w Rosji nastąpią wielkie zmiany, gdy wymrze pokolenie drugiej wojny światowej, gdy do steru dojdą ludzie urodzeni w drugiej połowie bieżącego stulecia. Obecny pokój oparty na terrorze atomowym, maskującym wzajemną wrogość, brak zrozumienia i nieufność nie może trwać dziesiątkami lat, ponieważ jeżeli nic się nie zmieni – musiałoby dojść do wojny. Tak było zawsze w przeszłości. Problemy nienadające się do rozwiązania grzebano pod gruzami miast i na wojennych cmentarzach, które można oglądać we wszystkich krajach Europy.

Gdyby przyszłość można było wydedukować z teraźniejszości – wystarczyłoby zmobilizować kilka tysięcy socjologów, którzy zebraliby współczesne dane i nimi zaprogramowano by duży komputer. Jeżeli przyszłość jest drzewem, które wyrasta ze szczepu teraźniejszości – zakładając, że znamy reguły wzrostu – komputer nie powinien mieć trudności w odpowiedzi na pytanie, jak będzie kształtowała się sytuacja w Europie za 10 lat.

Trudność polega na tym, że teraźniejszość jest zawsze płynna i zmienna i skutek tego nie może służyć za niewzruszoną podstawę rachunku „przyszłościowego”. Teraźniejszość jest jak plastelina, którą ugniatamy i formujemy w naszych palcach i tym samym wpływamy bezpośrednio na kształtowanie się przyszłości. Każdy z nas stanowi część doświadczenia, któremu na imię teraźniejszość i tym samym wpływa na przyszłość.

W tym miejscu należy poświęcić nieco uwagi utopiom. Utopia nie jest futurologiczną ekstrapolacją opartą na analizie teraźniejszości – ponieważ obraz utopijny budowany jest w oderwaniu, a nawet w sprzeczności z rzeczywistością. Jest jednak moim głębokim przekonaniem, że utopie są nie tylko potrzebne, lecz konieczne. Rosja – o jakiej marzy Sołżenicyn – w zestawieniu z obecną rzeczywistością jest utopią, lecz gdyby brakło Rosjan oddanych tej utopii – Rosja stałaby się krajem bez jutra.

Polska niepodległa, demokratycznie rządzona, w dobrych stosunkach ze swoimi sąsiadami, jest również utopią. Lecz to jest utopia, której nie zamierzam ani się wyzbyć, ani jej zdradzić.

Loty kosmiczne, lądowanie na księżycu, fotografie Wenus, Marsa, Júpitera przesyłane przez statki kosmiczne kierowane z ziemi – to wszystko nie zostało wyekstrapolowane przez futurologów, tylko te wspaniałe osiągnięcia zostały wyśnzione i wymarzone przez utopistów.

Przyszłość to nie jest logicznie zaprojektowane następne piętro gmachu teraźniejszości. Gdyby tak było – futurologowie, socjologowie i ekonomiści mieliby zawsze i we wszystkim rację. W rzeczywistości przyszłość jest realizacją utopijnych snów i marzeń ludzi i narodów. Przyszłość – gdy staje się rzeczywistością – częściowo przekracza najśmielsze sny i marzenia, częściowo zdradza wczorajsze utopie. Niemniej wydaje mi się, że utopie, tzn. sny, marzenia, pragnienia tak jednostek, jak i społeczeństw – są realniejszym budulcem przyszłości niż wszystkie logiczne dedukcje futurologów.

Kto w roku 1910 przewidział powstanie niepodległego państwa Izrael? Państwo to wyśnili i wymarzyli Żydzi wschodnioeuropejscy w oparciu nie o komputery, ale w oparciu o Stary Testament i Talmud.

Polska niepodległa z okresu międzywojennego powstała wbrew przewidywaniom racjonalistów, którzy dowodzili uczenie – jak np. Róża Luksemburg – że niepodległość Polski nie leży w interesie klasy robotniczej Rosji, Polski czy Niemiec. Twórca państwa polskiego – Józef Piłsudski – nie tylko nie był marksistą, ale nawet nie był pozytywistą. Z tradycją pozytywizmu związany był Dmowski, natomiast Piłsudski, rozczytany w Słowackim, był romantykiem – związanym z tradycją najbardziej utopijnego ruchu w naszych nowoczesnych dziejach. Mam na myśli powstanie w roku 1863 – pieczęć Rządu Narodowego i szubienice na stokach Cytadeli. A przecież historia nie potwierdziła marksistowskiej analizy Róży Luksemburg, nie potwierdziła polskiego pozytywizmu – potwierdziła natomiast Piłsudskiego. Dmowski podpisał traktat wersalski, lecz ani jednego dnia nie był premierem rządu RP, a w chwili śmiertelnego zagrożenia na czele

rządu jedności narodowej stał Witos, a nie reprezentant Stronnictwa Narodowego.

Stało się tak dlatego, że nie marksizm, nie ideologia rewolucji, nie pozytywizm z programem pracy organicznej – tylko Legiony, polskie wojsko, polskie mundury, polskie szable ucieleśniały sny i marzenia większości Polaków.

Wielkim osiągnięciem są zrealizowane, mądrze i racjonalnie zaprojektowane, plany rozbudowy czy uprzemysłowienia, lecz nic – powtarzam – nic nie wywiera takiego wrażenia, jak stanąć twarzą w twarz z urzeczywistnioną utopią, ze zrealizowanym nagle marzeniem pokoleń.

Powyższą dygresję o utopiach chciałbym zakończyć dwoma uwagami. Utopie rodzą się z tragedii i z niemocy. Głęboko odczuwane dążenia i pragnienia – oczywiste w swej moralnej słuszności, gdy nie mogą w danym okresie być zrealizowane w ramach *Realpolitik* – emigrują do krainy utopii, ponieważ w świecie realizmu i pragmatyzmu musiałyby zmarnieć.

Jednostki ludzkie i narody, które w okresach długotrwałych klęsk nie są zdolne do budowy utopii – nie mają gdzie „emigrować” i załamują się pod brzemieniem teraźniejszości.

Utopia jest przyszłością tych, którzy nie mają przyszłości – ponieważ przyszłość, w realnym tego słowa znaczeniu, mają tylko ci, których przyszłość może być zaplanowana w realnych wymiarach. Lecz jak podkreślałem to wielokrotnie – najbardziej realny realizm jest kategorią zmienną. To, co dziś jest całkowicie nierealne, za kilka lat może być w stu procentach realne. Sytuacja klęski czy głębokiego kryzysu polega na tym, że choć teoretycznie można przyznać, że klęska i kryzys nie będą trwały wiecznie, nie ma realnych podstaw do twierdzenia, że np. za 10 lat sytuacja ulegnie poprawie. Ów brak realnych podstaw uniemożliwia budowanie programu polityki realnej. Wówczas niepokodzeni z klęską wycofują się w utopię.

Tym, którzy powiedzą, że budowa utopii czy ucieczka w utopię jest w gruncie rzeczy bezproduktywnym eskapizmem – odpowiadam następująco. Racjonalna utopia, jeśli wolno się tak wyrazić, jest zawsze wizją przyszłości. Realnego programu polityczno-społecznego nie ma bez wizji przyszłości. W gruncie rzeczy sformułowanie wizji przyszłości jest najtrudniejszą i najważniejszą częścią programu. Wizja bowiem musi odpowiadać na pytanie, jakiej Polski pragniemy, a nie jaka Polska jest możliwa w pojałtańskiej sytuacji. W wizji nie można się rozgrzeszyć z niczego – natomiast w ramach *Realpolitik* można się rozgrzeszyć ze wszystkiego. Politycy realiści powiedzą, po co mówić

o Wilnie i Lwowie – skoro dziś i tak nie możemy oddać Wilna Litwinom, a Lwowa Ukraińcom. Po co mówić o samostanowieniu narodów ujarzmionych przez Rosję, skoro Rosjanie nie przyznają nigdy Ukraińcom prawa do samostanowienia? Po co mówić o demokracji w Polsce – skoro parlamentaryzm i wielopartyjność, po dziesiątkach lat komunistycznej dyktatury, przynieść by musiały chaos, który zakończyłby się dyktaturą pravicową lub wojskową, być może gorszą od dyktatury komunistycznej. Jeżeli w momencie koniunktury historycznej Polacy nie będą mieli żadnej wizji – innymi słowy, nie będą wiedzieli jakiej Polski pragną – sytuacja w Polsce będzie wypadkową dawnych nawyków i uwarunkowań i owa chaotyczna, pełna brutalności sytuacja sprawi, że znajdą się ludzie, którzy dyktaturę komunistyczną będą wspominać jako „dawne dobre czasy”.

Wydawałoby się, że gdy raz przekroczymy granice utopii – wszyscy stają się szlachetni, wzniośli, wspaniałomyślni, ponieważ w wymiarze utopijnym to nikogo nic nie kosztuje. Gdybyśmy wybrali na emigracji 100 ludzi mądrych i bez skazy i gdybyśmy tej Radzie Stu powierzyli wypracowanie na piśmie wizji przyszłej Polski po odzyskaniu niepodległości – wydaje mi się, że owi radcy nigdy by nie uzgodnili pomiędzy sobą wizji przyszłej Polski, ponieważ wypracowanie wizji jest daleko trudniejsze niż wypracowanie programu. Łatwiej bowiem jest uzgodnić w szerszym kole dyskutantów to, co jest realne, a co nie jest realne – niż odróżnić to, co jest pożądane i słuszne, od tego, co jest niepożądane i niesłuszne. Budując wizję, trzeba by odpowiedzieć na pytanie, czy Polska winna oddać Ukraińcom Lwów. Trzeba by domyśleć do końca, czy taki krok byłby słuszny i pożądany czy nie. Należałoby odpowiedzieć na pytanie, czy winniśmy przyjąć do demokratycznej społeczności niepodległej Polski tysiące polskich komunistów i czy należałoby zalegalizować partię komunistyczną, gdy w przyszłej Polsce znalazło się 10 czy 20 tysięcy komunistów, którzy pragnęliby mieć własną reprezentację w demokratycznie wyłonionym parlamencie.

W okresie 1863–1918 inteligencja polska we wszystkich trzech zaborach odgrywała pierwszoplanową rolę. Ta warstwa wyprodukowała zarówno krytyczną ocenę przeszłości, jak i wizję przyszłej Polski. W cytowanym okresie inteligenci polscy byli aktywistami idei niepodległościowej.

Dziś inteligencja polska nie ma żadnej wizji i dlatego, w chwilach kryzysu, nie jest w stanie wypracować programu działania.

Czytałem, że inteligencja polska w Kraju wykazała wielką dojrzałość polityczną, wstrzymując się od udzielenia poparcia robotnikom

w okresie tzw. wydarzeń grudniowych w roku 1970. Angażując się czynnie, inteligencja nie osiągnęłaby niczego, natomiast ściągnęłaby na siebie represje i prześladowania, powodując w rezultacie ogólne pogorszenie sytuacji inteligencji w Polsce Ludowej.

W mojej ocenie fakt, że inteligencja nie poparła robotników w grudniu 1970, dowodzi jej niedojrzałości politycznej. Ów fakt dowodzi również, że inteligencja nie posiada żadnej wizji. Wizje nie podlegają cenzurze – ponieważ nawet w Sowietach nie ma jeszcze orwellowskiej „policji myśli”,

W kilku ostatnich numerach „Kultury” ukazało się sporo artykułów i wypowiedzi krajowców. W większości wypadków są to próby precyzowania cząstkowych programów – w oderwaniu od wizji, której po prostu nie ma. Nie można wypracowywać rysunków roboczych, jeżeli nie ma się wizji domu, który zamierza się budować. Wizja nie rodzi się ze szczegółowych opracowań programowych, tylko odwrotnie – plany robocze rodzą się z wizji.

Jednym z podstawowych elementów mojej wizji przyszłej Polski jest sojusz inteligencji z klasą robotniczą. Poświęciliśmy tej sprawie wiele miejsca na łamach „Kultury”, zwłaszcza w okresie „wiosny praskiej”.

Niemniej wydarzenia grudniowe w roku 1970 zdają się wskazywać, że sojusz inteligencji z klasą robotniczą nie istnieje w Polsce nawet jako wizja – nawet jako marzenie.

Jak powstaje wizja? Wizji nie może stworzyć ani komisja ekspertów, ani komitet przywódców politycznych reprezentujący różne kierunki myśli niepodległościowych. Dawniej wizję przekazywała literatura narodowa. Jednak wizja nie była „papierowym tygrysem”. Siłą żywotną wizji był protest i bunt. Polacy nie godzili się z niewolą i z narodowym nieistnieniem i szli na Sybir lub na szubienicę – dla wizji nierealnej, niemniej ucieleśniającej cele i dążenia narodu.

W minionej epoce literatura odzwierciedlała wizję, lecz jej nie tworzyła. Wizja istniała w sercach i umysłach ludzi, pulsowała w zbiorowej świadomości warstwy określonej mianem inteligencji.

Niezależnie od cenzury – literatura we współczesnej Polsce, podobnie jak w innych krajach Europy, utraciła swe dawne funkcje i przywileje. Nie mamy Sołżenicyna – bo nie moglibyśmy go mieć. Polacy wykpiłoby deklamacje o humanizmie, o idealizmie religijnym – wykpiłi wielkością nieodłączną od wizjonerskiej literatury. Polscy cmokerzy literaccy wolą Gombrowicza niż polskich Sołżenicynów, których nie ma.

Po upadku i klęsce wrześniowej – wobec której błędną wszystkie Sybiry i nieudane powstania – literatura poczuła się współwinna za

ów straszliwy rozdzźwięk, jaki istnieje pomiędzy polską współczesną rzeczywistością a wczorajszą wizją. Cenzura ułatwiła literaturze zrzućenie z ramion płaszcza, który jej już nie pasował i ciążył.

Wizji, którą w znacznej mierze determinuje los i przeznaczenie narodu, nigdy nie tworzy literatura. To nie Kipling stworzył imperializm brytyjski, tylko brytyjska idea imperialna stworzyła Kiplinga.

Wizja jest krystalizacją dążeń i pragnień aktywnie myślących ludzi danej społeczności narodowej. Na dalszą metę to, do czego część danego społeczeństwa świadomie dąży i czego pragnie – w znacznie większym stopniu determinuje los narodu niż tzw. obiektywne warunki zewnętrzne. Podobnie los jednostki jest w znacznie większym stopniu determinowany przekonaniem o słuszności wytyczonego celu i wolą jego realizacji niż tzw. obiektywnymi warunkami. Ludzie z wizją i wolą osiągają swoje cele – często wbrew piętrzącym się przeciwnościom.

Wierzę, że w ostatecznym rozrachunku tak jednostki, jak i narody decydują o swoich losach w znacznie większym stopniu, niż mogłoby się to wydawać na podstawie analizy tzw. obiektywnych warunków.

Jeżeli mówimy, że dany człowiek siłą przekonania i woli oraz wytrwałą pracą zwalczył wszystkie przeszkody i osiągnął swój cel – jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, że dany człowiek swoją postawą wpłynął na zmianę układu tak zwanych obiektywnych warunków.

Nie twierdzę, że naród w niewoli może osiągnąć wolność solidarną postawą niepodległościową – to znaczy zmienić obiektywny układ sytuacji. Twierdzę natomiast, że wolności i niepodległości nie osiągają nigdy ci, którzy wolności nie pragną i do niepodległości nie dążą. Twierdzę również, że postawa wewnętrzna społeczeństwa wpływa na układ tzw. obiektywnych warunków. Dlatego w gruncie rzeczy nie ma *lost causes*, są tylko *lost people*.

Jeżeli dana sprawa czy problem – choć w danym okresie obiektywnie nierealna – posiada dostateczną ilość gorących i oddanych zwolenników, przekonanych o moralnej słuszności danej sprawy, wcześniej lub później postawa tych ludzi wpływa na układ obiektywnych stosunków i to, co było niemożliwe i nierealne staje się możliwe i realne. Jeżeli postęp socjalny coś znaczy – to można stwierdzić, że ów postęp we wszystkich dziedzinach na początku składał się z serii *lost causes* – które jednak nigdy nie straciły przekonanych wyznawców, którzy często pokoleniami walczyli o to, co uważali za słusznie i sprawiedliwe, wbrew wszystkim obiektywnym warunkom.

Mówiliśmy o pierwszeństwie wizji, której brak uniemożliwia wypracowanie programu. Jeżeli nie będziemy mieli sformułowanej wizji

Polski, jakiej pragniemy – zmiana obiektywnych warunków może nas zaskoczyć i nie będziemy mieli odpowiedzi na podstawowe pytania i problemy.

W grudniu 1970 inteligencja polska nie miała wizji i w konsekwencji nie miała programu. Wydarzenia ją zaskoczyły i w rezultacie inteligencja pozostała na marginesie. Nie twierdzę, że inteligencja powinna była powstać zbrojnie. Twierdzę natomiast, że gdy w Polsce nastąpią strajki i rozruchy robotnicze, inteligencja, nie mając żadnej wizji, przyjmie postawę bierną, wyczekującą i przebudzi się z letargu, kiedy na wszystko będzie za późno.

Polskość trzeba praktykować – trzeba nie tylko być zaangażowanym, lecz trzeba przemyśleć polską problematykę i trzeba budować w swej duszy wizję Polski w oparciu o zasady chrześcijańskie, bacząc uwagę, by w naszej wizyjnej Polsce obrona interesu narodowego nie oznaczała krzywdy pobratymczego narodu. Na dalszą metę bowiem realne jest tylko to, co jest słuszne. Cele niesłuszne bywają osiągalne, lecz niesłuszne rozwiązania czy układy sytuacyjne nigdy nie są trwałe. Dlatego wizja, by w przyszłości choćby częściowo mogła być przetłumaczona na politykę realną, musi być słuszna i moralnie bez skazy. Wizja przyszłej Polski winna być oparta na zasadach chrześcijańskich i kulturze typu zachodnioeuropejskiego. Chciałbym jeszcze raz podkreślić z naciskiem, że wizja moralnie słuszna, intensywnie wyznawana przez część choćby narodu, jest siłą historiotwórczą.

Z rozmów, jakie prowadzę z krajowcami od dziesiątków lat, wynika, że w tej sprawie panuje całkowity chaos, a poważne myślenie o wizji przyszłej Polski większości Polaków wydaje się bezproduktywnym zajęciem. Nawet gdyby można było przyszłą Polskę zamówić u Pana Boga – nikt by nie wiedział, jak ów obstalunek sformułować.

Nie bójmy się słów utopia czy utopijność. Wszelki postęp w fazie embrionalnej jest utopią. Współczesna technologia, medycyna, biologia – 50 lat temu były utopiami. Dekolonizacja Afryki i Azji pół wieku temu była utopią. Niemal każdego dnia jesteśmy świadkami przekształcania się utopii w rzeczywistość.

Wizja – program – realizacja – to jest ogólny schemat wszelkiej działalności ludzkiej, którą określamy procesem historycznym. Wizja nie jest utopią w ujemnym tego słowa znaczeniu, lecz przeciwnie, jest pierwszym i nieodzownym krokiem na drodze ku realizmowi.

Wizja Polski? Co to jest Polska? Polska to jest naród, kraj, ziemia, lasy, rzeki, góry, wsie i miasta oraz kultura. Kultura Zachodu. Czuję się daleko bardziej w Polsce, słuchając Beethovena czy Mozarta, niż czytając Putramenta czy Iwaszkiewicza. Mówię o Beethovenie

i Mozarcie, ponieważ uważam muzykę klasyczną za wyjątkowe i bezprecedensowe osiągnięcie kultury zachodniej. Inne cywilizacje tworzyły w przeszłości wielkie literatury, wspaniałe sztuki plastyczne, wspaniałe systemy filozoficzno-religijne, lecz muzyka klasyczna jest – wybaczcze to słowo – unikalnym osiągnięciem kultury Zachodu. Azja wyprodukowała Buddę, lecz nie wydała ani jednego Beethovena. Ceramika chińska czy rysunki Hokusai są wspaniałą sztuką, lecz ani Chiny, ani Japonia nie wydały Haydna czy Mozarta.

Nic nie jest bardziej europejskie i bardziej zachodnie niż muzyka klasyczna, która jest „ojczyzną ojczyzn” Europejczyków wywodzących się z różnych krajów naszego kontynentu. Nasz Chopin należy do tej samej zachodnioeuropejskiej tradycji i jeżeli wierzyć świadectwu Delacroix, grał „bosko” Mozarta.

Kultura zachodnia i rzymskie chrześcijaństwo stanowić muszą fundament wizji autentycznej Polski, która wyzuta z tych dwu elementów przekształcić by się musiała w bezpostaciową miazgę etniczną, rozlaną na szerokim przedpolu stanowiącym przedłużenie równin rosyjskich.

* * *

Nie chciałbym wywołać wrażenia, że wizja przyszłej Polski ma cokolwiek wspólnego z romantyzmem. Czy młodego uczciwego człowieka na dorobku, którzy marzy o własnym domu nazwiemy romantykiem? Podobnie wizja Polski nie powinna wybiegać poza to, co się nam z prawa należy. Nie marzymy o odbudowie Polski imperialnej – staramy się natomiast umocnić w nas samych przekonanie, że nie należy się nam nic mniej niż innym narodom, jak powiedzmy Belgom czy Szwedom. Z podstawowych, powszechnych dziś praw do samostanowienia można być czasowo obrabowanym, lecz z uprawnień tych nie wolno nigdy rezygnować. 30-milionowy naród europejski jest z definicji uprawniony do samostanowienia o swoim losie i dochodzenie tego uprawnienia nie jest romantyzmem tylko oczywistością, która nie może podlegać dyskusji. Podobnie nie jest romantyzmem dochodzenie swoich praw do samochodu, który skradziono nam sprzed domu. Polacy mają skłonność uważać uprawnienia, które im przysługują, za romantyzm i utopię – natomiast akomodację z grabieżcą tych uprawnień skłonni są uważać za *Realpolitik*.

Jako ostatni punkt tych rozważań i refleksji poświęćmy kilka słów gigantomachii, którą uważam za główne zło we współczesnym świecie. Żywą, często gwałtowną reakcją na gigantomachie jest dewolucja, którą obserwujemy na całym globie z wyjątkiem Związku Sowieckiego.

Jeżeli daną organizację czy strukturę powiększamy, jej problemy rosną w postępie geometrycznym. Weźmy dla przykładu dwa miasta – jedno milionowe i drugie ośmiomilionowe. Oba miasta mają zasadniczo te same problemy z tym, że miasto ośmiomilionowe ma każdy problem dziesięciokrotnie, a często dwudziestokrotnie większy i wielokrotnie trudniejszy do rozwiązania. Gigantyczne miasto musi mieć gigantyczną biurokrację, gigantyczną policję i ów gigantyzm powoduje, że stosunki przeciętnego obywatela z owymi kolosami są zdehumanizowane. W takiej masie jednostka może być tylko cyfrą, niczym więcej. W metropoliach-gigantach problemy takie jak przestępczość, korupcja, narkotyki – są po prostu nie do zwalczenia i nie do rozwiązania. Nakładem olbrzymich pieniędzy wyciśniętych z mieszkańców w formie podatków można owe problemy uśmierzyć, załagodzić, lecz nie rozwiązać.

Podobnie przedstawia się problem gigantomachii w jej aspekcie politycznym. Weźmy dla przykładu Ukrainę. Ukraina do swoich problemów regionalnych ukraińskich musi jeszcze dodać problemy wypływające z gigantomachii sowieckiej. Czy Ukraińcom, którzy są średniej wielkości narodem, potrzebne są loty kosmiczne? Na pewno nie. Czy Ukraińcom potrzebne są kosztowne bronie atomowe i druga z kolei największa flota świata – na pewno nie. Niemniej Ukraińcy na to wszystko muszą dawać pieniądze, które – gdyby Ukraina była niezależną republiką – mogłyby być użyte na czysto ukraińskie cele społeczne, gospodarcze itp.

Weźmy jeszcze inny przykład. W ostatnich latach wyrosły jak grzyby po deszczu tzw. multinacjonaly, to znaczy wielonarodowe koncerny przemysłowo-handlowe. W tych gigantach dehumanizacja i alienacja robotników doprowadzona jest do perfekcji. Jeżeli fabryka danego multinacjonatu w Anglii nie przynosi spodziewanego zysku – fabrykę przenosi się do innego kraju, a robotników brytyjskich „puszcza się na zieloną trawkę”.

Na problem gigantomachii zwróciło uwagę wielu uczonych, m.in. prof. Leopold Kohr.

Głównym problemem Rosji jest jej wielkość. Nawet gdyby Rosja była państwem demokratycznym, lecz zatrzymała zasadę niepodzielności i centralizmu – jej gigantomachia uniemożliwiałaby rozwiązanie podstawowych problemów społecznych i gospodarczych. Nawet w zliberalizowanej, lecz niepodzielonej Rosji musiałaby być olbrzymia biurokracja i olbrzymia policja. Niepodzielna Rosja, nawet zliberalizowana, musiałaby być centralistycznie i autorytatywnie rządzona z Moskwy, bo w niepodzielnej Rosji nie byłoby komu władzy delegować.

W tak gigantycznym kraju scentralizowanym i autokratycznie rządzonym nic nie może funkcjonować sprawnie, ponieważ absurdem byłoby wymagać, by biurokracja tych wymiarów mogła sprostać swym zadaniom. W systemach gigantomachicznych problemy niejako automatycznie ulegają uwielokrotnieniu. Centrum odpowiada na owo uwielokrotnienie stałym powiększaniem biurokracji, co oczywiście stwarza nowe problemy i zwiększa koszty maszyny państwowej.

Jest oczywiste, że łatwiej jest prowadzić racjonalną gospodarkę w małej Szwajcarii niż w „bezkresnej” Rosji, gdzie najprostszy problem ulega podniesieniu do n -tej potęgi i staje się nie do rozwiązania. Autokratyzm rosyjski tu bierze swe źródło, ponieważ Rosję można by zdecentralizować tylko za cenę jej dewolucji.

O dewolucji mówi się dziś i pisze w Anglii, lecz nie w Rosji. W Wielkiej Brytanii dewolucja oznacza przyznanie praw do autonomii Szkotom i Walijszykom, którzy zachowując unię z Anglią, będą mieli swoje parlamenty, które będą decydowały niemal o wszystkim co walijskie czy co szkockie – z wyjątkiem obrony i polityki zagranicznej.

Chciałbym przekonać naszych rosyjskich przyjaciół w wolnym świecie, że nie można mówić o liberalizacji czy demokratyzacji Rosji w oderwaniu od dewolucji. W Rosji dewolucja musiałaby oznaczać przyznanie rzetelnej autonomii republikom federalnym. Nie mówimy o „parcelowaniu” Rosji tak, jak prasa brytyjska, pisząc od miesięcy o dewolucji Szkocji i Walii, nie ma na myśli parcelacji Wielkiej Brytanii. Czy autonomiczna Ukraina zechce w przyszłości zerwać więzy łączące ją z Rosją i przyjąć status niepodległego państwa, zależeć będzie jedynie od woli narodu ukraińskiego i nikt tej sprawy nie może przesądzać.

Lecz podkreślam jeszcze raz – dewolucja nie oznacza ani parcelacji, ani rozczłonkowania Rosji. Dewolucja oznacza natomiast przyznanie autonomii republikom federalnym. Stany Zjednoczone składają się z pół setki stanów, z których każdy posiada własny parlament, administrację, policję, ustawodawstwo itp., itd. Stany Zjednoczone cierpią również na skutek gigantomachii, lecz nie są ani w połowie

tak scentralizowane jak Rosja i mimo systemu prezydenckiego nie są autokratycznie rządzone.

Chciałbym wreszcie przekonać naszych przyjaciół rosyjskich, że dewolucja potrzebna jest w pierwszym rządzie Rosjanom, a dopiero w drugiej kolejności Ukraińcom czy Litwinom. Ponieważ w tym wypadku chodzi o Rosję i przede wszystkim o Rosję. Bez dewolucji Rosja będzie niezdolna do decentralizacji, będzie niezdolna do przełamania systemu autokratycznego i pozostanie średniowiecznym kolosem odciętym od Europy i od dwudziestego wieku. Bez dewolucji modernizacja Rosji nie jest możliwa. Rosja, która odrzuci dewolucję, będzie skazana na postępujący chaos wytworzony lawiną problemów nie do rozwiązania. Policją i łagrami można do czasu rządzić – lecz policją i łagrami nie można niczego rozwiązać.

Problem Rosji numer 1 jest już nie wymiar, ale jej bezmiar. Ów wymiar wyłącza decentralizację, demokrację, racjonalną gospodarkę ekonomiczną i społeczną. Rosja bez dewolucji skazana jest na autokratyzm i terror. I tak oto wielkość niepodzielonej Rosji – mistycznie odczuwana przez wielu Rosjan – może się stać jej przekleństwem i przyczyną upadku.

Dewolucja – ruch od wielkiego ku średniemu lub małemu – jest dziś charakterystycznym ruchem rozwojowym o światowym zasięgu. W Wielkiej Brytanii projektuje się i buduje wiele nowych miast. Wszystkie nowe miasta są małe lub średniej wielkości. Nie projektuje się nowych Londynów czy nowych Birmingham.

Ludzie zrozumieli, że gigantomachia jest koszmarną chorobą. Wielkie zakłady przemysłowe, wielkie instytucje, wielkie miasta – multiplikują wszystkie problemy, a część ich przekształcają w zagadnienia nie do rozwiązania. Przerost – to znaczy wzrost od średniego ku gigantycznemu – odbywa się zawsze za cenę degradacji jakości życia. Więc społeczną, poczucie przynależności, zadowolenie z wykonywanej pracy, to wszystko w systemach gigantomachicznych zastępuje komputer programowany i zarządzany przez supermenadżerów.

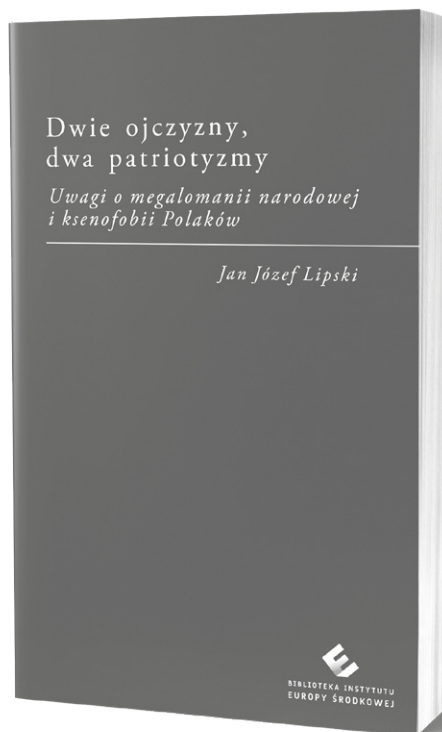
W dziedzinie politycznej trend dewolucyjny sprzyja decentralizacji władzy, regionalizmowi – a na szczeblu narodowym sprzyja tendencjom do samostanowienia. Gdyby ktoś 30 czy 50 lat temu wysunął projekt parlamentu walijskiego – posłano by projektodawcę do psychiatry, a dziś dyskutuje się o dewolucji i przyjmuje się projekty parlamentów szkockiego i walijskiego jako rzeczy rozumiejące się samo przez się.

Trend dewolucji nadaje nowy wymiar sprawie Polski. Przestajemy być lost cause, przestajemy być utopistami, ponieważ nasze aspiracje

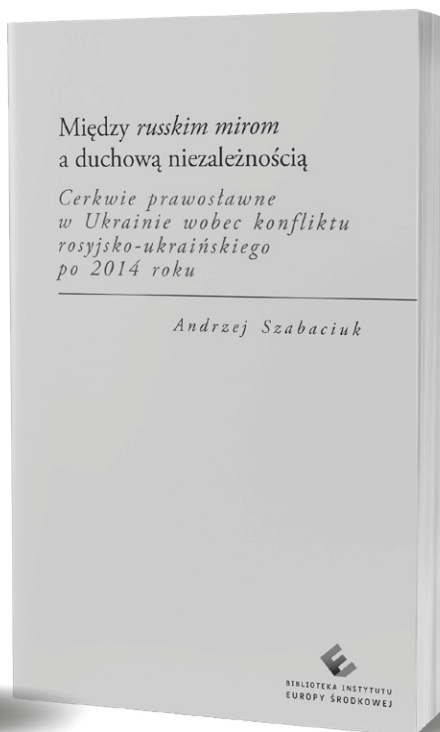
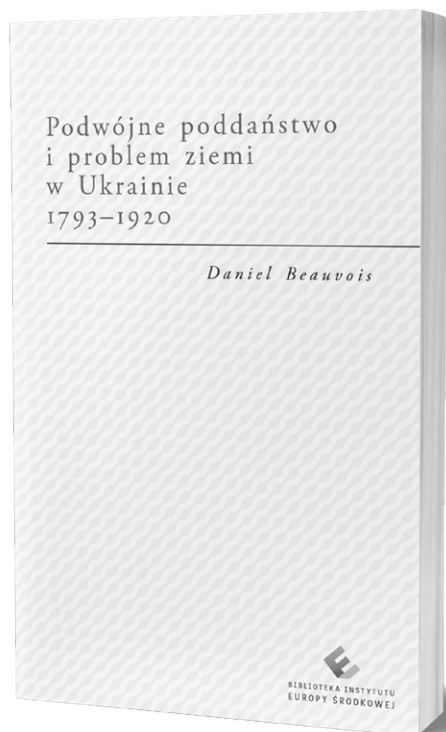
stają się zgodne z duchem czasu. To jest rzecz niebagatelna – ponieważ jest rzeczą rozpaczliwą walczyć o słuszną sprawę, której pozytywne rozwiązanie byłoby sprzeczne z duchem epoki.

Zgodność z duchem epoki nikomu nie gwarantuje zwycięstwa. Lecz owa zgodność odbiera polskiej sprawie egzotyzm, który czynił ją niezrozumiałą dla obcych. Jesteśmy dewolucjonistami jak wiele innych narodów i mniejszości narodowych na obu półkulach, które domagają się prawa do samostanowienia. Dewolucjonizm – który poza imperium sowieckim jest powszechnie przyjętą filozofią politycznie społeczną – nadaje naszym żądaniom legitymizm, co oznacza coś więcej niż legalizm. Przez legitymizm należy rozumieć zgodność z ogólnie przyjętą szkołą myślenia politycznego na Zachodzie – podczas gdy legalizm dotyczy tylko dawnego polskiego ustawodawstwa konstytucyjnego. Dewolucjonizm, a nie legalizm powinien służyć za teoretyczną podstawę obrony sprawy polskiej na arenie międzynarodowej.

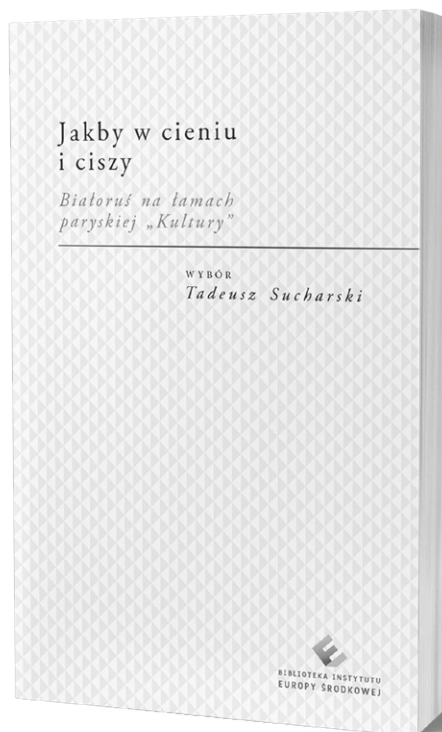
W następnym artykule postaram się odpowiedzieć na pytanie, jakimi metodami powinien walczyć o prawo do samostanowienia naród pozbawiony konstytucyjnych środków wyrażania swojej woli.



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH
Krzysztof Rumowski

REDAKCJA
Hanna Abramowicz

FOTOGRAFIA AUTORA NA OKŁADCE
ze zbiorów Instytutu Literackiego

SKŁAD
Amadeusz Targoński

© Copyright Instytut Literacki Kultura

ISBN 978-2-494695-18-4
ISBN 978-83-68760-10-1

DRUK I OPRAWA
Akapit Lublin

INSTYTUT LITERACKI KULTURA
91, avenue de Poissy, 78600 Le Mesnil-Roy
www.kulturaparyska.com

INSTYTUT EUROPY WSCHODNIEJ
ul. Niecała 5, 20-080 Lublin
www.ies.lublin.pl

